
AS
Nr. 37.
10 LISTOPADA 1935
CENA 40 GROSZY.
KOKIETERJA
CZY IRONJA?

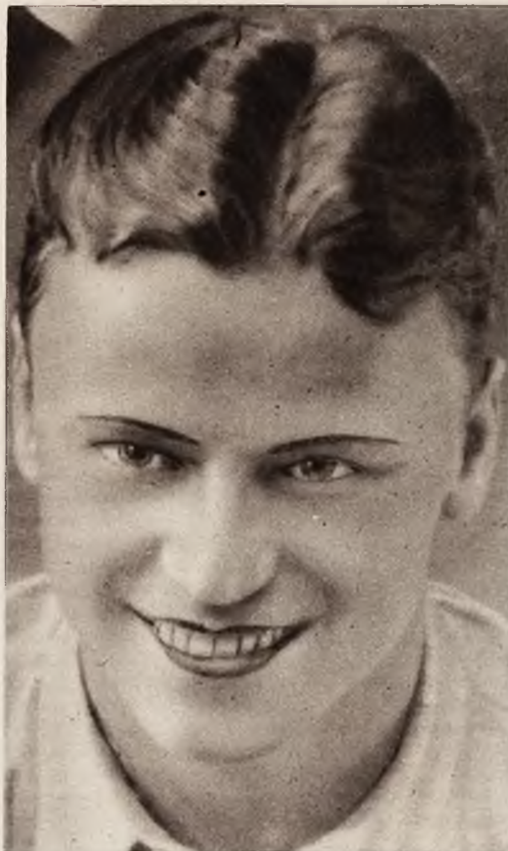
NASZ WIELKI KONKURS

NA

NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH.

Przyzwyczailiśmy się przeglądać z zainteresowaniem uśmiechy pięknych pań zamieszczone w rubryce konkursu i za każdym nowym numerem „Asa" staraliśmy się dojść do konkretnego rezultatu tj. ustalić, który uśmiech jest najpiękniejszy. Między Czytelnikami wybuchały nieraz spory, każdy popierając swoją kandydatkę i zapewniając otoczenie słowem honoru, że jego wybranka jest najpiękniejsza.

Lecz wszystko ma swój koniec. Przeszło lato, drzewa straciły swe liście i cały świat nabrał poważnych, a nawet smutnych barw. Wraz z uśmiechami lata skończyły się również i nasze konkursowe uśmiechy, które obecnie przechodzą jako materjał w ręce jury, mającego wypowiedzieć ostatnie słowo o ich wartości. Jak zauważyli nasi



P. Mietek M. — Warszawa.

nika. Jesteśmy nawet przekonani, że niejeden uśmiech przez nas zamieszczony stanie się początkiem głębszej sympatji...

Obecnie jury konkursowe przystępuje do przeliczenia ważnie oddanych głosów naszych Czytelników. Przygotowane są już olbrzymie urny, cały sztab pomocników i sekretarzy pilnie bada każdy kupon, a celem zachowania tajemnicy zaprowadzono daleko idące środki ostrożności. Pewien zakochany, młody człowiek, chcąc zapewnić swojej narzeczonej pierwszą nagrodę, dopuścił się „defraudacji" trzech kuponów, przeznaczonych dla jej rywalki, wobec czego zastosowano sankcje, nie ustępujące w niczem sankcjom wypływającym ze statutu Ligi Narodów.



P. Kati Kwaśniewska — Sambor.



P. Z. P. — Katowice.



„Małopolanka" — Luzino.

Czytelnicy, stosujemy nadwyraz modny i aktualny sposób rozsądzania wszelkich wątpliwości i umożliwiając Czytelnikom plebiscyt. Jesteśmy przekonani, że odbywa się on w całem słowa znaczeniu uczciwie, bez przekupstwa, bez dyplomatycznych kombinacyj, jakie zwykle plebiscytom odbierają zasadniczą wartość. W naszym plebiscycie, wyrażającym się przesyłaniem kuponów do urny „Asa", najważniejszą rolę grają oczy i serca Czytelnika.

W najbliższym czasie agencje telegraficzne całego świata doniosą Wam Czytelnicy, który z uśmiechów został wyróżniony! A więc trochę cierpliwości, a z frontu uśmiechowego nadejdą pewne wieści.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 37 **Niedziela 10 listopada 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 37-GO:

Fot „As".

Ze zbliżaniem się historycznej rocznicy 11. listopada, stanowiącej święto narodowe Polaków, myśli całej Polski biegną w stronę Tego, który spoczął wiecznym snem w historycznych podziemiach wawelskiego zamku. Współcześni Polacy, pracując dla Ojczyzny, zdają sprawę ze swych wysiłków wobec pamięci Marszałka, tak jak nasze wojsko wykazywało swą sprawność podczas rewji i ćwiczeń przed Jego oczami. Żaden szczegół nie uszedł uwagi Józefa Piłsudskiego, który dobrotliwym uśmiechem nagradzał swych żołnierzy za owocne wysiłki.

CHRYZANTEMA i SZABLA





Malarstwo japońskie odznacza się wysoce oryginalnem ujęciem tematów zwierzęcych.

Od r. 1905, tj. od wojny rosyjsko-japońskiej, Europa coraz większą zwraca uwagę na daleki, tajemniczy i piękny kraj Wschodu — Japonję. Zupełnie odrębna kultura, iście amerykańskie tempo rozwoju gospodarczego i politycznego, wysokie walory duchowe i intelektualne tego narodu, oto dziedziny, które zainteresowały Europejczyków. Największe jednak znaczenie posiada Japonja dla nieazjatyckich krajów przez sztukę.

Japończycy to jedyny — obok Greków — naród, dla którego najrozleglejsze zaspakajanie potrzeb estetycznych stanowiło jeden z nieodzownych warunków bytu. — Estetyka, poczucie piękna, wrosła im w krew. Życie codzienne, umysłowość, naród jako całość — wszystko jest nastrojone na przyjmowanie wrażeń piękna

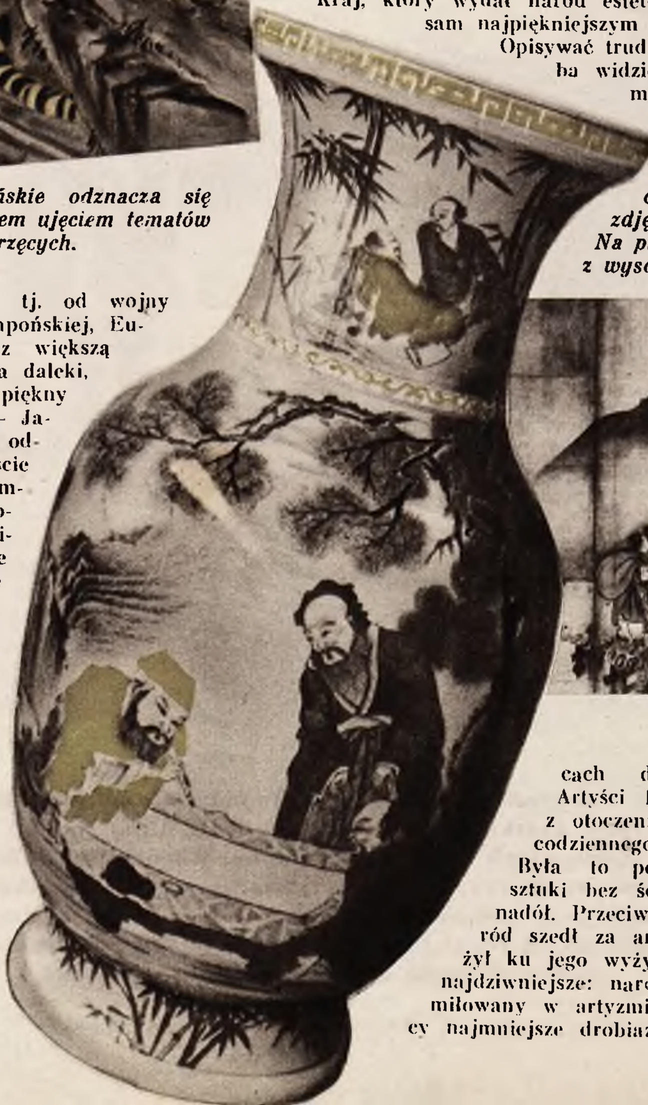
Sztuka! Dzieła sztuki gdzieindziej tworzone tylko dla wybranych, tu były chlebem codziennym najszerszych mas. Dla miljonów fanatycznych wielbicieli, tysiące artystów tworzyły liczne dzieła. Mało, o wiele za mało przetrwało trzęsienia ziemi, pożary i inne klęski. Z końcem ubiegłego wieku Europa, Zachód wogóle — zabił w dużej mierze dawną sztukę japońską. Barwy anilinowe i pośpiech odebrały drzeworytom ich subtelny wdzięk: odbitki przestały być staranne, a barwy delikatne. To co się zachowało z czasów rozkwitu zdobi domy, pałace, zbiory prywatne i muzea. Przemawia do nas pięknem, harmonją barw, mistrzostwem rysunku. Artyści japońscy, żyjąc w atmosferze czci dla sztuki, spotykając miłość dla dzieł sztuki całego narodu, tworzyli zapatrzeni w piękno natury. Nie żyli odosobnieni, żyli dla całego narodu, który sztukę chciał mieć wszędzie, w każdym otaczającym go przedmiocie. Ten głód piękna, miał swoje realne korzyści, bo wpłynął pośrednio na niezwykły rozwój przemysłu.

Kraj, który wydał naród estetów jest sam najpiękniejszym z krain. Opisywać trudno, trzeba widzieć, a to można w tysiącach drzeworytów. Artyści brali tematy z otoczenia, z życia codziennego, z podań. Była to popularyzacja sztuki bez ściągania jej nadół. Przeciwnie: — naród szedł za artystą i dążył ku jego wyżynom. A co najdziwniejsze: naród ten rozmiłowany w artyzmie, cyzelujący najmniejsze drobiazgi, nię popadł w zniewieściałość. Jest to naród najdzielniejszy pod słońcem. Kochający ojczyznę bez apelacji i gotów oddać ostatnią kroplę krwi w obronie kraju, tradycji i własnego honoru. Stanowczość i pewność, jaką widzimy w malowaniu, czy pisaniu odbija się w charakterze! Jeden przykład: samuraj ze swym oddziałem otoczony przez nieprzyjaciela, znalazł się nad skrajem przepaści, w położeniu bez wyjścia. Poddać się lub zginąć! Wódz z okrzykiem „Banzaj" skacze w przepaść. Nim doleciał do dna cały oddział już wisiał w powietrzu, skacząc za nim! Honoru nie śmie splamić nawet wahanie!

Dla pobieżnie patrzącego sztuka japońska wydaje się obcą, banalną, ba — nawet płytką. Jedno podobne do drugiego. Tak nie jest. Artyści japońscy to indywidualności silne i różne. Wśród nich są genjusze i przeciętni. Dzieła ich są odmienne ujęciem i wykonaniem. Japończycy kochają się w kwiatach, a Nowy Rok jest tam świętem wiśni i wiosny. To zamiłowanie odczuwa się w sztuce. Kwiat — dzieło sztuki natury, jest dekoracyjny, harmonijny w barwach i subtelny w rysunku. To samo widzimy w sztuce japońskiej. Dlatego to dekoracyjność i harmonja barw to cechy, narzucające się widzowi przedewszystkiem. Harmonja barw! Zestawienie kolorów u artystów japońskich są dla nas nieraz dziwne, ale gdy zdziwienie przeszło, pozostaje podziw.

Kraków jest w tem szczęśliwem położeniu, że w jego murach znajduje się jeden z największych w świecie zbiorów prywatnych, zbiory wielkiego znawcy i miłośnika sztuki, F. Jasieńskiego. Zbiory te nie mają dotąd odpowiedniego pomieszczenia. Te parę





Na lewo: Ceramika japońska należy poza chińską do najstarszych na świecie. Na zdjęciu porcelanowa waza z XVII wieku. Na prawo: Bronzy japońskie znane są z wysoce drobiazgowej roboty.



Malowidło japońskie z XV wieku.

sałek przy ul. Szczepańskiej pozwala na pokazanie tylko drobnej cząstki, z takim trudem i drogą wielkich poświęceń, zebranych arcydzieł. Budujące się Muzeum Narodowe niewątpliwie da godne pomieszczenie dla tych tysięcy sztuk dzieł i uprzystępni je ogółowi. Wśród eksponatów przy ul. Szczepańskiej znajduje się parawan — dzieło Suzuki Kiitsu, który jest żywą ilustracją tego co powiedziałem przed chwilą. Widzimy tam kolory: złoto, srebro, zielony, biały, niebieski, bronzowy, czerwony. A jednak całość jest symfonją, odpoczynkiem dla oka. Jeżeli zachwyca nas dzieło, to podziwiać musimy i technikę. Rysunek niezwykle subtelny — delikatny, tworzony śmiałemi pociągnięciami pędzla po jedwabiu (niemożność poprawek!) jest wyrazem nieprawdopodobnego opanowania ręki. Ale też i japoński artysta umiał pracować! Największy z nich może — nieśmiertelny Hokusai — powiedział u schyłku życia (umarł w 90 roku): „Dajcie mi jeszcze kilka lat, a nauczę się malować". Czyż to nie jest porywające i wzruszające zarazem? Sztuka japońska, to nie kopja natury, to przez oko i duszę przepuszczony obraz, znajdujący swój wyraz na papierze lub jedwabiu, często za pomocą kilku kresek, to „stenografja sztuki". Jedna gałązka to czasem cały temat obrazu, a jednak patrząc czujemy całą wiosnę w tych kilku liściach. Wisi przedemną mały drzeworyt: gałązka moreli. Na niej nikły ptaszek z dzióbkiem zadartym do góry. W tym obrazku jest wszystko — bezpośredniość natury, kontakt jej z Bogiem, wiosna — wszystko! Takich dzieł nie stwarza sam rozum. Tu czuje się duszę — cały bogaty świat wewnętrzny artysty.

Niejeden obraz rozsadza może talent artysty, ale jednak zawsze dzieło jest opanowane. Tematy są najrozmaitsze, natura żywa i martwa, ludzie, życie codzienne i epizody bohaterskie. Każdy temat znalazł swój wyraz w dziełach malarstwa japońskiego. We wszystkich uderza nas przedewszystkiem ruch i rytm. To nieporównane oddanie ruchu świadczy znów o mistrzowskiej technice i cudownem oku artysty. Czy lecący ptak, czy uciekający przed deszczem ludzie, wszystko żyje — zdaje się wyjdzie z ram obrazu. Tu wspomnę o obrazie „Karpie" (z wystawy przy ul. Szczepańskiej). Tchnie życiem, jak mało jakie dzieło wszechświatowego malarstwa. Kilkoma pociągnięciami zaznaczona woda. W niej mkną — wprost na widza — całym pędem smukłe karpie. Patrzący czuje się w samem środowisku Państwa Neptuna. Kolorytu prawie niema, ale subtelne odcienie tuszu sprawiają na widzu wrażenie najbogatszej palety.

Jak powstawał obraz japoński? Albo był malowany tuszem na jedwabiu i potem umocowany na rolce, rozwijany w miarę potrzeby, albo też na cienkiej bibułce. Bibułkę oddawał artysta-malarz drzeworytnikowi. Ten nakładał ją na deskę z wiśniowego drzewa. Rylcem wodził po rysunku (tem samem niszczył) i wycinał na drzewie. Następnie deseczka przechodziła do rąk drukarza, który wykonywał odbitki w różnych ilościach. Oczywiście każdy kolor był na innej desce. Trzech artystów tworzyło końcowe dzieło. Drzeworyty przechowywano zwykle w albumach. Rozkwit tej sztuki przypada na wiek XVIII. Drzeworytnictwo spopularyzowało sztukę japońską. Drzeworyty — dziś istniejące w małej ilości — były ongiś dostępne i dla biedaków. Są one tylko jednym z działów sztuki japońskiej. Inny to laki. Nie przypuszczamy, biorąc do ręki pudełeczko, czy też jakiś inny przedmiot, ile pracy włożono w wykonanie takiego drobiazgu. Przedmiot pokrywało się warstwami laki, mniej na powierzchni gładkiej, kilkadziesiąt razy — na miejscach wypukłych. Trwało to czasem parę lat, a dokonywano tego nieraz na pełnem morzu, by kurz nie zepsuł jednolicie lśniącej powierzchni. Co za cierpliwość i oddanie sztuce!

Sam lak jest to żywiczny sok z pewnego krzewu, zabarwiony dowolnie. Cudne są zwłaszcza laki inkrustowane. Ile tam pomysłowości, smaku! Znane są małe pudełeczka, zawieszane u pasa, służące do przechowywania perfum lub lekarstw. Zwały się „Inro". Z laki wykonywano również breloczki (Netske) zbroje, pochwy do szabel, niezliczone przedmioty życia codziennego, jak parawany, stoliki, półki, ba! — całe świątynie. Warto zaznaczyć, że stal szabli japońskich była lepszą od damasceńskiej. Wróćmy do malarstwa. Europejczyk jest specjalnie nastawiony na patrzenie na twarze. W japońskich obrazach był przyjęty pewien szablonowy sposób rysowania głów. Głowy te nie są podobne do spotykanych wśród ludu. Artysta nie kładł nacisku na podobieństwo, nie

Portret dziewczynki pendzla współczesnego malarza japońskiego Fudżity.

tworzył etnografji lub portretu. Olbrzymi dział malarstwa, to pejzaże. Tu rozpętał się już patrjotyzm, wulkaniczne ukochanie własnego kraju. Pełne one zieleni, śniegu, gór, drzew, rzek czy wodospadów! Przypomnę zachody słońca: za krzakami olbrzymia rozpalona czerwienią kula, rozrzuca promienie, obrysowuje kontury fantastycznych gałęzi. W pejzażach zadziwia różnorakie ujęcie: ta sama góra, malowana przez tego samego artystę, jest zawsze inna. Sławny jest cykl Fudżi, olbrzymiego wygasłego wulkanu — emblematu Japonji — stworzony przez Hokusaia.

Niemniej ciekawe od obrazów są choćby szablony dla malarzy, ręcznie robione wycinanki, ceramika, hafty, bronzy. Największy kiedykolwiek odlany z brązu posąg, to Budda w Nara — wysoki 15 metrów, pochodzący z VIII wieku. Dziełami sztuki są też gardy szabel i sztyletów oraz maski.

Naród, który tak ukochał sztukę, ma również narodowy system filozofji — Bushido,

Maski japońskie zyskały sobie dzięki swej ekspresji wybitne miejsce w sztuce światowej.

który nauczył Japończyka odpowiednio zachowywać się w każdej chwili życia. Wieczny uśmiech na jego twarzy, to jeden z wyrazów tej filozofji i głębokiej kultury, nie pozwalający na uzewnętrznienie osobistych przeżyć.

Mówiąc o Japonji nie można pominąć herbaty. Napój ten, to u nas śniadanie lub podwieczorek, w krainie wschodzącego słońca, to cały obrzęd, to temat do rozpraw, wierszy; to oś życia towarzyskiego i rodzinnego. Sławną jest „Książka o herbacie" przez Okakura Kakuzo. Pisze on między innemi: „Cudzoziemiec niewątpliwie zadziwi się, że można robić tyle hałasu spowodu tak małej rzeczy. Quelle tempête dans une tasse de thé! Ale jeżeli się zastanowimy, jak maleńką jest mimo wszystko czara rozkoszy ludzkich, jak prędko przebiera łzami, jak łatwo — w naszym pragnieniu nieskończoności wychylamy ją do dna, nie będzie się nam zarzucać, że za wiele zajmujemy się herbatą". Trochę za dużo poświęciliśmy Europejczycy, Bachusowi, dlatego nie mielibyśmy się oddać Królowej Kamelji i z jej ołtarzy płynącemu ciepłemu prądowi sympatji? W wonnym płynie delikatnych filiżanek, wtajemniczony może wyczuć całą duszę japońską! Poeta Song posunął się jeszcze dalej i powiedział, że 3 rzeczy są rozpaczliwe na świecie: młodość psuta złem wychowaniem, piękne obrazy szpecone podziwem chama i herbata źle przyrządzona!

Znaną jest czystość Japończyków — najbiedniejszy kąpie się trzy razy dziennie, a żebrak błaga: „Jeszcze się dziś nie kąpałem!" Czystość ta nie tworzy martwoty.

(Dokończenie na str. 31-ej).

CIEKAWE DROBIAZGI.

ZEGARKI, KTÓRE NIE PODLEGAJĄ WPŁYWOM MAGNETYCZNYM.

Od niedawna fabryki zastosowały do fabrykacji części zegarków nowy stop, który nie ulega namagnesowaniu. Dotychczas używano do wyrobu najbardziej czułych i najważniejszych części zegarka — stali. Zegarki o mechanizmach stalowych ulegały wskutek zbliżenia ich do pola magnetycznego — namagnesowaniu i przestawały chodzić regularnie. Nowy t. zw. stop berylowy wyklucza namagnesowanie się zegarka, co dotychczas było niemożliwe do usunięcia.

FABRYKI WE WNĘTRZU GÓR.

Do niedawna istniał — jak wiadomo — prąd zmierzający do decentralizacji przemysłu, a w szczególności przemysłu wojennego, a to w tym celu, aby nie narażać na ataki lotnicze objektów, decydujących niejednokrotnie o zwycięstwie podczas wojny. Obecnie mówi się dużo o nowym sposobie budowania fabryk. Zdaniem sfer zainteresowanych fabryki należy budować u stóp wzgórz i poziomo wkopywać je coraz głębiej. W ten sposób zabudowania fabryczne byłyby nietylko ukryte przed eskadrami bombowemi, ale też chronione skutecznie przed atakiem lotniczym.

CO TO JEST KOŃ PAROWY?

Sprawność silników mechanicznych oznaczona jest ilością t. zw. koni mechanicznych (HP). Siłę jednego HP rozumie się przez uniesienie 75 kg na wysokość 1 m w ciągu 1 sekundy. Do oznaczenia siły maszyny istnieją specjalne aparaty, które oznaczają automatycznie moc włączonej do tych aparatów maszyny.

Warto na marginesie zauważyć, że siła konia żywego nie sięga nawet 1/3 siły konia mechanicznego. Historja określania jednostki siły maszyny koniem mechanicznym sięga zapewne czasów wynalazcy maszyn parowych J. Watta. Otóż Watt miał swego czasu zainstalować jedną z pierwszych swoich maszyn w pewnym browarze w Anglji. Aby przekonać piwowara o sprawności swego wynalazku, zaproponował mu próbę, polegającą na zestawieniu pracy konia z pracą maszyny parowej. Chodziło o dostarczenie wody. Piwowar najlepszym swym koniem zdołał w ciągu ośmiu godzin przewieźć 2,120.000 kg. wody na wysokość 1 m. Ten wyjątkowy rezultat wykazał sprawność 73 kgm na sekundą. Sprawność ta została podniesiona do 75 kgm i nazwana siłą 1 HP.

PIORUNOCHRONY NA DRZEWACH.

Asystent jednego z uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych, John Hopkins, wynalazł specjalnego typu piorunochron, który chroni przed piorunami drzewa. Hopkinsowi chodziło o zabezpieczenie specjalnie rzadkich gatunków drzew. Piorunochron Hopkinsa składa się z iglicy siedmioramiennej, kabla miedzianego i rur żelaznych, zakopanych w ziemi. Doświadczenia wykazały zadowolającą sprawność piorunochrona.

WYPRAWA ROSSA I ODNALEZIENIE BIEGUNA MAGNETYCZNEGO.



Na początku zeszłego stulecia pewien żeklarz angielski, nazwiskiem Ross, przedsięwziął wyprawę na biegun północny w celu odszukania drogi morskiej po oceanie Lodowatym do cieśniny Beringa. Subwencje państwowe w owych czasach były dla tego rodzaju przedsięwzięć rzadkością. Kapitanowi Rossowi pomógł do odbycia podróży Feliks Booth.

Dzięki więc Boothowi statek „Victory" pod dowództwem Rossa wypłynął na morze w roku 1829, kierując się ku północy. Statek „Victory" był parowcem. Spodziewano się, że pokona on niebezpieczeństwa wód podbiegunowych i życzono mu szczęśliwego powrotu.

W czasie podróży uwagę załogi zwrócił fakt, że z chwilą, gdy statek znalazł się przy 84 stopniu długości zachodniej, kompasy okrętowe przestały działać. Statek zbliżał się wówczas do cieśniny Regenta.

Ważnym dla dalszych losów załogi „Victory" był fakt, że na zachodnim wybrzeżu tejże cieśniny natrafiono na wielkie zapasy żywności pozostawione tam przez jakichś rozbitków. Dzięki niskiej temperaturze prowianty zachowały się w dobrym stanie.

Statek „Victory" popłynął dalej, a Ross i jego marynarze w dalszym ciągu śledzili zachowanie się kompasu. Stwierdzono, że igła magnesu zawieszona luźno stawała pod kątem 90 stopni do ziemi, a więc prawie pionowo.

Po wynalezieniu kompasu stwierdzono w jakiś czas, że igła wskazująca — jak wiadomo — kierunek północny, zdradza pewne odchylenia w kierunku zachodnim. Szybko zdano sobie sprawę, że obok bieguna północnego istnieje jeszcze najwidoczniej biegun magnetyczny. — Wiedział o tem oczywiście Roos i jego marynarze. Dlatego nie przestawano się interesować zachowaniem kompasu.

W tym czasie „Victory" zmuszony został do zimowania wśród lodów. W wiele miesięcy statek ruszył dalej, jednakże znów został zatrzymany przez lody. Wtedy to syn kapitana Rossa, James Clarke Ross, wyruszył z kilku marynarzami pieszo na północ w celu odszukania bieguna magnetycznego. Pierwszego czerwca 1831 roku dotarł wreszcie Ross do miejsca, gdzie igła magnesowa przybierała kierunek pionowy do ziemi. Był to 70-ty stopień i 5-ta minuta szer. półn. i 96-ty stopień 46-ta minuta dług. zach. W miejscu tem zatknięto sztandar angielski. Ross powrócił na statek jako zwycięzca.

Tymczasem „Victory" ugrzązł w lodach nadobre, a niebezpieczeństwo zgruchotania statku przez kry stawało się coraz większe. Załoga opuściła statek i udała się do miejsca, gdzie znajdowały się szczątki zapomnianego od laty statku i wspomniane zapasy żywności. W miejscu tem zimowano i wreszcie w r. 1833 zepchnięto na wody arktyczne dwie łodzie, w których rozpoczęła się rozpaczliwa tułaczka po morzach. Załogę „Victory" odnalazł statek wielorybniczy i zwrócił Anglji.

Tak zakończyła się wyprawa Rossa do bieguna. Odkrycie Rossa wywołało zrozumiałe poruszenie wśród uczonych.

Dziś każdy wie o istnieniu bieguna magnetycznego, ale nie wszyscy znają, jakie koleje przechodził Ross i jego marynarze, walcząc w imię nauki z groźną północą.

DZIEŁO LOTI'EGO — MISTYFIKACJĄ.



Piotr Loti.

Znana powieść Piotra Loti'ego pt. „Zawiedzione" daje obraz życia haremowego kobiet tureckich. Jest to oczywiście obraz z życia dawnej Turcji, dzisiejsza bowiem pod rządami Kemala Paszy została pozbawiona wielu romantycznych uroków, a temsamem i haremu.

W związku z tą powieścią przypomina R. Lefèvre, autorka biografji Loti'ego, pewną historję, która zdarzyła się w r. 1903, kiedy Loti przybył do Konstantynopola jako oficer marynarki. W czasie tym pani Marc Helys oraz jej przyjaciółki panny Chateauneuf, córki zamieszkałego w Turcji Francuza, postanowiły „nabrać" autora wielu książek. „Kawał" pani Helys i jej przyjaciółek polegał na tem, że zapoznały się one z Loti'm i w czasie spotkań, na których zjawiały się zawoalowane na modłę dam haremowych, opisały swe zmyślone przygody i smutne koleje życia dam haremowych w Turcji. Nie trzeba dodawać, że panie nie żałowały fantazji.

Loti, kierując się pseudo-autentyczną historją trzech dam haremowych, napisał wymienioną wyżej powieść. Książka ta przysporzyła autorowi sławy i stała się pewnego rodzaju sensacją. Oczywiście Loti nie wiedział, że jego bohaterka Leila była panią Marc Helys. Piotr Loti długo jeszcze korespondował ze swą „turecką znajomą", która wreszcie uznała, że najlepiej będzie usunąć się z tego świata i napisała ostatni list, w którym zawiadamia Loti'ego, że popełni samobójstwo. Prócz tego listu otrzymał Loti drukowane zawiadomienie o śmierci Leili. Dwie inne „damy haremowe" przybyły do Paryża i zaczęły eksploatować pisarza. Zmusiły one Loti'ego, aby oddał im część tantjem z książki „Zawiedzione".

Szczytem obrzydliwości było opublikowanie tej całej historji po śmierci Loti'ego przez panią Helys. Pani Helys — jak wynika z treści jej publikacji — bardzo cieszy się ze swojego kawału.



Idealnem tłem dla „króla Edypa" jest starorzymska arena w Orange.

„KRÓL EDYP" NA ARENIE RZYMSKIEJ!

Brzmi to istotnie jakoś paradoksalnie... A jednak Orange, ciche miasteczko południowej Francji ożywia się raz do roku, na okres trzydniowy, by stać się ośrodkiem zainteresowań Francji całej.

Arena romańska, która dochowała się w Orange nadspodziewanie dobrze po dziś dzień, nadaje się dziwnie do najróżniejszych widowisk.

Prawda, że ta arena z czasów Juljusza Cezara odnowiona została w wieku ubiegłym, zachowując dokładnie charakter pierwotny. Amfiteatr wznosi się półkoliste. Naprzeciw scena, oparta o wielki mur, liczący 103 metry długości i 36 m wysokości.

Po raz pierwszy znalazłem się w Orange w roku ubiegłym, z grupą dziennikarzy paryskich. Podróżowaliśmy noc całą, by przybyć do Orange wczesnym rankiem. Na dworcu oczekiwał nas Emil Fabre, administrator generalny „Comédie Française", organizujący z ramienia najstarszej sceny Paryża owe widowiska reprezentacyjne. Pociąg pospieszny zatrzymano na tej podrzędnej stacji umyślnie z okazji widowisk. — Wzmożono też ilość autobusów, łączących Orange z pobliskiem Avignon, byłą stolicą Papieży. W Orange „mobilizacja" ogólna.

— Jak na wojnie... — zauważył jeden z dziennikarzy.

Uwaga ta przeszła jednak bez wrażenia w naszej grupie, w której niezwykle zgodnie zwiedzali miasto Niemiec, Austrjak, Polak, Szwajcar, Węgier, Szwed i t. d. Oglądaliśmy z ciekawością miasto tak bardzo pogodne, jasne i wesołe po szarym Paryżu; niebo tu bardziej błękitne, słońce bardziej grzeje, ludzie są więc i milsi, rozmowniejsi i powolniejsi. Wreszcie zapada wieczór. Areny zapełniają się publicznością. By zobaczyć tu „Króla Edypa" przybyło 7.000 osób, ale zmieściłoby się drugie tyle. Uderzało skupienie zebranych. Panuje mrok i cisza. Uwertura z „Coriolana" i „Siódma Symfonja" Beethovena odegrane w ciemności przez doborową orkiestrę paryską, osiągają efekt niezwykły. „Króla Edypa" widziałem w tejże obsadzie w Paryżu, na kilkanaście dni przed Orange, na przedstawieniu galowem w „Comédie Française", w obecności Prezydenta Republiki. Sala lśniła odświętnością, a światła kandelabrów odbijały się nieskończoną ilość razy o błyszczące gorsy panów i brylanty pań. Wzdłuż przedsionków wartę honorową pełniły dwa szeregi wspaniałych gwardzistów w strojach galowych, w kaskach z kitami, w białych spodniach skórzanych. Na widowni atmosfera duszna. Czułem się również „na baczność"!... W antrakcie, zwyczajem „Comédie Française" udałem się do specjalnego salonu, by odwiedzić tu René Alexandre'a ,jednego z największych artystów francuskich, brata znanego w Polsce reżysera filmowego. Zwyczaj to znany tylko przez abonentów i bywalców: w antrakcie schodzą się artyści w kostjumach i publiczność w strojach wieczorowych: dla zbliżenia, dla poznania się.

Jakżeż inna atmosfera w Orange! Zmianie uległy właściwie tylko dekoracje i stroje. Smokingi przybrali tylko członkowie orkiestry Colonne... Na widowni wiele osób bez marynarek.

Panuje cisza. Wzmagają się tylko głosy odległe, gdzieś zza muru i światła reflektorów, ukrytych gdzieś w górze. Głosy potężnieją w jakiejś skardze, łkaniu czy prośbie, potężnieje też siła świateł, zalewających wreszcie podjum, już zapełnione artystami i chórem, interpretującym tańcami akcję. A akcja rozwijała się jakoś mocniej, pełniej, pod prowansalskiem niebem, niż w czterech murach teatru paryskiego. Oddychaliśmy głębiej, czuliśmy się swobodniej, a ten stan błogości powiększał przyjemność widowiska Wielki mur, jedyne tło sceny, mocnym akcentem podnosił każdy gest i wyraz.

Wreszcie nastąpił antrakt. Zwyczajem paryskim udałem się za — kulisy. To nie salon „Comédie Française" z kanapkami, krytemi jedwabiem, lecz zakątek ze sufitem gwiaździstym, o nierównych kamieniach „podłogi", po której chodził Juljusz Cezar. Tu i ówdzie zwał kamieni rzymskich, które nie zdołały trafić na właściwe miejsce w czasie rekonstrukcji. W kącie prowizoryczny bufet, oświetlony lampką karbidową. Publiczność miesza się tu ze statystami i artystami; ze statystami, rekrutującymi się spośród.. wojaków berberyjskich, stojących garnizonem w okolicy, a wypożyczonych dyrekcji teatru dla zmniejszenia kosztów. Teraz szwargoczą po arabsku, a spod szminki wyziera żółta cera... Docieram wreszcie do Alexandre'a. Ta sama wielka, biała broda, którą widziałem niedawno w Paryżu. Spoczywa on na złomie jakiejś skały... i z zadowoleniem konstatuje wyższość tej sceny i jej warunków nad sceną paryską!

Wracamy na miejsca. Trochę zimny ten kamień, na którym siedzimy... Pomysłowi przekupnie sprzedawali i wynajmowali u wejść poduszki!

Księżyc wznosi się na niebie Wiatr zimny niesie liście i pomiętoszone kawałki programów. Z estrady padają słowa Edypa i kończy się późno romański sen na prowansalskich ruinach.

Zygmunt Frenkiel (Paryż).

Fragment resztek rzymskiej areny w Orange.



MEKSYKAŃSKIE DZIWO



Kaktusy posiadające tysiące odmian doczekały się specjalnej wystawy w Berlinie.

Bezsprzecznie najmodniejszą rośliną w danej chwili jest kaktus i co więcej nic nie rokuje detronizacji z tego stanowiska. Kaktus przynosi szczęście — a dzisiejszy człowiek chce być przedewszystkiem szczęśliwy.

Już w okresie Biedermajeru, kaktusy zdobiły zarówno izby mieszczan, jak i salony szlachty. Dziwne kształty kaktusa doskonale harmonizują zarówno ze staroświeckim sekretarzykiem, jak i z modernistycznym typem mieszkania.

Przyglądając się dziwnym kształtom słupowatego cereusa, kulistej mamilarji lub owalnym członom opuncji, rzuca się nam w oczy podobieństwo tych form geometrycznych do nowoczesnych wzorów modernistycznych. Kaktusy nie wymagają specjalnych zabiegów hodowlanych, gdyż cała pielęgnacja polega na częstszem lub rzadszem podlewaniu, regulacji światła i temperatury.

Główną jego zaletą jest jednak, jak twierdzą miłośnicy, że kaktus ma znacznie więcej wyrazu od innych roślin.

Ilość gatunków kaktusów jest stosunkowo niewielką, ale ilość odmian idzie w tysiące i każdy rok przynosi nowe. W Europie moda hodowli kaktusów rozpowszechniła się najbardziej w Niemczech, gdzie istnieje kilkadziesiąt zakładów ogrodniczych, specjalnie poświęconych tej hodowli, a pozatem koła miłośników tych roślin.

U nas kaktusy nie są nowością, bo przeszło 50 lat temu były już hodowane przez naszych ogrodników, a dziś w hodowli zajmujemy w Europie czwarte miejsce. Hodowle nasze są wspaniale postawione, a największa z nich sprzedaje do 1000 egzemplarzy dziennie. Ojczyzną kaktusów jest Meksyk, który ma nawet w herbie opuncję. Prócz tego rosną także kaktusy w Ameryce północnej i południowej. Specjalnie bogate w ten rodzaj rośliny są stany Arisona i Nowy Meksyk, zwłaszcza zaś stoki o mniejszych opadach atmosferycznych i wyżyny Kordyljerów i Andów.

W Bolnoji, zachodniej Argentynie, Paragwaju i Urugwaju, zajmują kaktusy setki kilometrów kwadratowych. Nawet w okolicach dość zimnych spotykamy gdzieniegdzie kaktusy jak np. w Kanadzie, w stanie Mantoba pod 56° szerokości i w Ameryce południowej, w Kraju Ognistym.

Plackowate mięsiste pędy, wyrastające z pnia, to opuncje. — Najciekawsze zaś są formy kuliste — Echinokaktus, Mamallarja i Echinopsis, wśród których rozróżniamy olbrzymią ilość odmian zależnie od różnorodnego układu kolców. Wreszcie mamy gatunki t. zw. liściaste, o członkach w postaci płaskich liści, wyrastających jeden z drugiego.

Co do wielkości istnieje olbrzymia rozpiętość między poszczególnemi odmianami, poczynając od okazów, których wielkość nigdy nie przekroczy kilku cm, aż do olbrzymich drzew o szerokich koronach i mocnych zdrzewiałych pniach. Niektóre gatunki cereusu dochodzą do wysokości 16 m, przyczem średnica pnia wynosi 2 m. W Meksyku, Bolnoji i Arisonie tworzą kaktusy całe lasy, ciągnące się na przestrzeni wielu kilometrów. Drzewa kaktusowe liczą po kilkaset lat. Olbrzymi Echinokaktus Visnaga z wyżyny Patesi w Meksyku, za którego pniem może się ukryć jeździec na koniu, liczy ponoć 1000 lat.

Natura, skazując kaktusy na bytowanie w pustynnych piaskach, gdzie 60° C nie są zdarzeniem wyjątkowem, a deszcz pada raz na parę miesięcy, obdarzyła je jednocześnie wspaniałą umiejętnością przystosowania się do warunków. Umieją one w cudowny sposób magazynować w tkankach wodę. W czasie suszy kurczą się i chowają do ziemi. W czasie deszczu napełniają szybko swoje tkanki wodą i w przeciągu kilku dni wyrastają z ziemi.

U nas kaktusy są wyłącznie ozdobą, w ojczyźnie swej posiadają jednak szerokie zastosowanie praktyczne. W Peru i Chile suche pnie cereusów służą za budulec i drzewo opałowe. W Brazylji soku kaktusu używają Indjanie z racji jego chłodzących własności, jako lekarstwa na febrę. Niektóre odmiany kaktusa dają smaczne i pożywne owoce, wielkości jabłka. Opuncje były używane do hodowli pewnego gatunku mszyc, a mianowicie koszenilli, które służą do fabrykacji czerwonej farby. Obecnie hodowle te utraciły znaczenie wobec wynalezienia barwików chemicznych.



Bezsprzecznie najciekawszą odmianą kaktusa jest „święty kaktus“ t. zn. Peyotl czyli Echinocactus Wiliamsi. Znany jest on z zawartości silnego narkotyku który zastępuje Indjanom haszysz. *(Dok. na str. 31)*

Na lewo: Narówni z artystycznemi drobiazgami kaktus stanowi piękną dekorację mieszkania. — Poniżej: W Meksyku, kaktus jest równie częsty, jak u nas przydrożna wierzba.





w uliczkach STAMBUŁU

IRENA LECIEJEWSKA
NOWELA
ILUSTR.: CHARLIE

Było to na pokładzie okrętu „Imperatul Trajan", na Morzu Czarnem. Noc była ciemna, gwiaździsta, bezksiężycowa. Siedząc na pokładzie, myślałem o wrażeniach, jakie czekają na mnie za kilkanaście godzin, gdy spojrzę na miasto „tysiąca minaretów".

Wyobraźnia wirowała po koliskach myśli; doznawałem tego szczególnego wrażenia, jakie daje początek każdej dalszej podróży: oczekiwanie przygody, stawanie na progu możliwości.

Z marzeń ocknęły mnie czyjeś kroki. Dwóch mężczyzn przechadzało się po pokładzie. Gdy przechodzili koło mnie, zauważyłem turecki strój jednego z nich i w błysku zapalanego papierosa mocny i piękn profil Europejczyka. Dźwięk niezrozumiałej mowy tureckiej zabrzmiał w ciemności, harmonizując z egzotyzmem moich myśli.

— — — — — — — — —

Poranek powitał mnie najczystszym błękitem nieba i fal, ruchliwych, świeżych, jakby wypoczętych. Były to jakieś Boecklinowskie barwy i blaski. Woda ta, lśniąca i kolorowa, w odcieniach zupełnie feeryczna, została mi w pamięci jako tło wszystkich doznanych wrażeń.

Łagodne stoki Azji i Europy, przesycone słoneczną mgłą, zanurzone w soczystej zieleni krzewów — jako ramy miały wodę Bosforu, mieniącą się w zachodnich światłach pawiemi piórami.

I ta, zorzą lśniąca woda odbiła w sobie wizję Konstantynopola, gdy wjechaliśmy w Złoty Róg.

Po obu stronach cieśniny piętrzyło się miasto falą ogrodów, domów i meczetów w amfiteatralnym, przepysznym ogrodzie roztoczone, zarysowane na tle bladoczerwonego nieba koronkowym profilem minaretów....

— — — — — — — — —

Mieszkałem w hotelu „De Prince" na Pera. Okna mojego pokoju wychodziły na ogród dawnej ambasady angielskiej, w którym kwitło mnóstwo żółtych tulipanów i narcyzów. A tuż pod moim balkonem olbrzymi kasztan wznosił gałęzie, obsypane wiosennemi, złotawemi pąkami roztulających się listków. Zawsze rano uśmiechały się one do mnie pozłotą słoneczną, zapowiadając nieustanną pogodę; nocami zaś, zmęczony wrażeniami, siadałem na balkoniku i poprzez wygięte gałęzie patrzyłem w ogród, bijący narkotycznym zapachem kwiatów...

Któregoś dnia minjaturowy stateczek zawiózł mnie na drugą stronę Złotego Rogu, do Eyubu.

Przez parę sklepionych bram wchodzi się w podwórko, na którego środku rośnie olbrzymie drzewo, nakrywając je przejrzystym dachem gałęzi. Z za muru wystrzela smukły minaret meczetu — powietrze biało jest od skrzydeł gołębich i złote od słońca, przeświecającego zielonkawe pędy gałązek — i dziwna, niewypowiedziana słodycz owiewa to miejsce...

W następnem podwórzu, skąd już wchodzi się wprost do mozaikowego meczetu, pielgrzymi modlą się i myją przy świętych studniach, nie patrząc zupełnie na turystów. A dalej jest cmentarz, ogromny, zarosły cyprysami, ciągnący się daleko wzdłuż Złotego Rogu. I ta sama słodka melancholja unosi się tutaj... Przez lekkie obłoki blado przebijało światło słoneczne; na różowych, pachnących migdałach i nieznanych mi złotych kwiatach, z których sypały się płatki, leżały krople niedawnego deszczu... kamienie nagrobków mokre były od wody.

Wąska uliczka prowadzi do bogatych grobowców dostojników tureckich. Prześliczne, marmurowe kapliczki o wnętrzach kolorowych i wysłanych bogatemi dywanami stoją w minjaturowych ogródkach, oddzielonych tylko kratą od zimnych fal Złotego Rogu.

Wieczorem, tego samego dnia, zwiedzałem meczet Świętej Zofji. Wtulony w gąszcz drzew, ciężki jest i potężny, pięknością poważną i ponurą. Nie puszczono mnie do środka, bo właśnie było nabożeństwo — z progu patrzałem w głąb.

A wnętrze gorzało od świateł, które świetlistemi kołami chwiały się nad głowami modlących, błyszczącemi skrętami obejmowały ściany i płonęły w górze. Od wielkich, zielonych tarcz ze złocistemi napisami, wiszących nad głową kapłana, szedł zielonkawy refleks. Meczet gorzał od świateł, a jednak jakiś złotawy mrok przepajał wszystko fantastycznym oparem... Snem wydawały się postaci, gnące się w pokłonach, snem światła złociste i zielonkawe mroki.. Ogarniało mnie dziwne wrażenie zatracenia się, zapamiętania — jakby coś urzekało duszę..

Wschód...

Przewodnik mój spuścił nagłym ruchem ciężką kotarą u wejścia; znikło rozgorzałe wnętrze, ogarnął mnie mrok.

Ale gdy spod szeleszczących liści podwórza wyszedłem znowu na plac i spojrzałem ku meczetowi sułtana Ahmeda, ogarnęło mnie zdumienie. Nie wiedziałem, czy urzeczone oczy nie śnią dalej snu, utkanego ze świateł....

W głębi ciemnego placu płonął różową łuną biały meczet. Wszystkie minarety oplatała potrójna galeryjka ze świateł. A pomiędzy dwoma wieżyczkami, wysoko nad łukiem białych schodów, płonął w powietrzu świetlisty napis. Na niewidocznych linach drucianych lampki oliwne, rozpięte w kształt liter, błyszczały słowami Koranu...

Na tle ciemnego nieba, nad białą wizją meczetu, światła te miały w sobie coś nierzeczywistego.

Był to piątek i czas Ramazanu. I kiedy spojrzałem ku miastu, zobaczyłem, że całe gorzeje podobnie, osypane światłami, migocącemi jak gwiazdy, powtórzonemi w ciemnej wodzie Złotego Rogu, skąd wypływały odbite, jak blade, złote kwiaty...

— — — — — — — — —

Kolację jadłem w „Turquoise" na Pera. Hałaśliwa orkiestra, wykwintne kelnerki, rzekomo czy naprawdę arystokratki-emigrantki z Bolszewji, wszystko to tchnęło Europą i kazało zapominać o Turcji.

Ja jednak nie mogłem się otrząsnąć z wrażenia i zresztą nie chciałem. W oczach miałem miasto, rozjarzone od świateł... jak jakiś opar z cieni i blasków, który wirował w mym mózgu i upajał jeszcze więcej, niż stojące przed nami wino.

O pierwszej wyszedłem z „Turquoise". Do Stambułu było dość daleko. Minąłem most na Złotym Rogu i zacząłem wspinać się w górę. Nie znam zupełnie nazw ulic, któremi szedłem. Pamiętam, że za którymś z zakrętów ogarnął mnie zamęt dźwięków, krzyków — barw i ruchu. Jeśli się mówi o „jaskrawym kolorycie wschodnim", to nazwa ta nadawała się doskonale do tej kipiącej ruchem ulicy.

Mimo ciągle płynącego tłumu, który kotłował się, jak garść pstrych confetti, na ulicy siedzieli przekupnie z różnemi towarami. Z uchylanych nagle drzwi jakichś sklepów czy restauracyj buchały strugi dźwięków dzikich, wrzaskliwych i pstrych, jak ulica... Wkrótce straciłem orjentacj i nie byłem pewny, czy wracam na to samo miejsce, czy też błądzę. Wszędzie ten sam kolorowy tłum, te drzwi z lampkami, ci przekupnie — hałas i barwy. Skręciłem wreszcie w jakąś przecznicę. Po kilkunastu krokach krętą uliczką ogarnęła mnie taka cisza i pustka, że trudno było uwierzyć, że tak gdzieś blisko krzyczy i kipi tłum. Zresztą nie umiałbym już wyjść na tamtą ulicę — bezwolnie poszedłem nieznanemi zaułkami.

Cicho tu było i ciemno. Uliczka była wąska, domy stare, drewniane, o zakratowanych, wygiętych oknach haremów. Nozdrza moje uderzył jakiś specyficzny zapach — jakby drzewa lub jakichś kadzideł...

Była noc. Cicha, ciepła, wiosenna noc. Wysoko nad uliczką błękitniało jasnym granatem niebo i srebrzyły się gzymsy domków. W dole uliczka była całkiem ciemna.

Długo stałem oparty o jakąś framugę drewnianych drzwi, patrząc ku osrebrzonym w górze kratom. W skroniach tętna były mi przyspieszonym rytmem, w głowie panował



Na środku pokoju szamotał się z trzema mężczynami!...

dziwny zawrót, świadomość przesłaniała jakaś mgła ciężka i wonna, jak ten zapach kadzidlany, który dobiegał mych nozdrzy.

Wkońcu poszedłem dalej. Ale tuż za zakrętem olśniła mnie fala blasku. Przede mną bielała w księżycowem świetle ulica, z jednej strony ograniczona murem, który w tym blasku zdawał się lśnić srebrem.. W rogu ciemniała mała furtka, a z poza niej wiotkim cieniem wystrzelał samotny cyprys. Tuż za furtką ulica załamywała się nagle i pogrążała w cień. Usiadłem tam na gzymsie muru. Przede mną srebrzyła się długa, samotna ulica...

Patrzałem i w świadomości mojej zrodził się jakiś niepokój — nie mogłem sobie przypomnieć czegoś, co krążyło gdzieś w zaułkach pamięci i nie mogło się wydostać na srebrną powierzchnię myśli. Ale co?... W ulicę lały się potoki księżycowego światła...

Wtem od strony zaułków dobiegł mię odgłos czyichś kroków. W ciszy nocy brzmiały one dziwnie głośno, stukały, dźwięczały prawie. W srebrnej ulicy zamajaczyła wysoka postać męska w jasnym płaszczu. Nieznajomy szedł pewnym krokiem w moją stronę, aż stanął — nie widząc mnie — przy furtce. W blasku księżyca poznałem mocny i piękny profil towarzysza podróży na okręcie. Czekał chwilę, wreszcie zastukał trzy razy, za chwilę znów trzy razy i jeszcze raz. Furtka uchyliła się cicho i nieznacznie, potem trochę szerzej — człowiek znikł. Przez chwilę echo kroków, zgrzyt bramy. Potem cisza. Jeszcze większa niż przedtem, jeszcze głębsza. Niesamowita, złowroga cisza.

Postanowienie przyszło szybciej, niż zdołałem je sobie uśmiadomić. Zastukałem trzy razy — za chwilę znowu trzy razy i jeszcze raz. Furtka rozchyliła się i znalazłem się na dużym dziedzińcu. Wielki dom, w głębi stojący, rzucał cień na nas. Postać, biało odziana, poprowadziła mnie bez słowa w stronę domu.

W zmąconym winem, wrażeniami i bezsenną nocą mózgu wszystko zdawało się zrozumiałem i dziwnem, tajemniczem a naturalnem. Nie wiem dokładnie, jak znalazłem się w małym, cichym pokoiku, wysłanym dywanami, przyćmionym opalowym pobrzaskiem wiszącej lampy. Mały chłopak turecki podawał mi usłużnie fajkę na długiej, rzeźbionej rączce.... Zrozumiałem. Była to palarnia opjum, do której dostałem się przypadkiem. Ale wnioskowanie to było współsenne — bezwolnie osunąłem się na czerwono-błękitny dywan..

A potem przyszły sny...

— — — — — — — — —

Zbudziłem się cały drżący, oblany potem. Gdzieś, bardzo blisko, słychać było czyjeś głosy. Chciałem się podnieść, ale nie mogłem. Głowa była ciężka, jak bryła kamienna i bolała nieznośnie. Język wyschły palił mnie, usta były spieczone. Patrzyłem jak przez mgłę. Powoli uniosłem się, jak pijany i odchyliłem lekko wiszący dywan. Spojrzałem i omal nie krzyknąłem. Na środku pokoju szamotał się z trzema mężczyznami ów nieznajomy z okrętu. W pewnym momencie uwolnił z uścisku prawą rękę i sięgnął do kieszeni. Błysnął rewolwer. Ale jednocześnie jeden z tamtych chwycił jego rękę i, przegiąwszy ku tyłowi, strzelił. Wysoki mężczyzna krzyknął i padł twarzą na dywan. Chwileczkę trwała cisza. A potem tamci przeszukali mu kieszenie, wyciągnęli jakieś papiery i wynieśli ciało. Na dywanie została czerwona plama krwi..

A ja patrzyłem bez słowa, bez ruchu, jak zahipnotyzowany, z oczyma utkwionemi w to miejsce, gdzie przed chwilą... I znowu wszystko zawirowało mi przed oczami...

— — — — — — — — —

Nie wiem dobrze, komu płaciłem i kiedy wyszedłem. Wiem tylko, że kiedy mała furtka zatrzasła się za mną, zacząłem biedz ulicami Stambułu, jak nieprzytomny, w jakimś dziwnym strachu... Rozwarła się przede mną przestrzeń, ujęta w ołowianą ramę morza, nieruchomego w szarości świtu. Biegłem jeszcze chwilę, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa — ołowiana tafla wody przechyliła się — zatrzęsła — ogarnął mnie mrok — upadłem. Ból przy upadku wrócił mi przytomność. Światło. Nad granatową taflą błękitniało niebo, blade, seledynowe. Spojrzałem ku miastu. Smukłe minarety sułtańskiego meczetu płonęły różowo od wschodzącego słońca. Złoty blask leżał na białych kopułach.

Gdyby nie nieznośny ból głowy, poddałbym się urokowi poranka. Ale byłem zbyt zmęczony i — zły. W jasnem świetle dnia wszystko stawało się również jasnem i zrozumiałem. Ale żeby tak się poddać sile halucynacji i pomieszać rzeczywistość ze snem. Chciałem jakiejś krwawo romantycznej historji i opjum podsunęło mi ją. A ja, cały trzęsący się ze strachu, wychodziłem z palarni. Trzeba było sobie przynajmniej zapamiętać, gdzie to było, a nie uciekać naoślep. Oczywiście, że był to właśnie wpływ narkotyku — niemniej, było mi trochę wstyd przed samym sobą. Wszystko to ostro rysowało mi się w świadomości, gdy szedłem w stronę Złotego Rogu.

W miarę jak szedłem, myśli moje poczęły się uspokajać. Chłód poranka rzeźwił mi obolałą głowę — oczy syciły się bezustanku czarem widoków. Skośne, złociste promienie słońca ślizgały się turkusowemi błyskami po ciemnej fali — pieściły moją twarz ciepłem dotknięciem i przepajały powietrze i niebo jakimś szczególnym, błękitnym blaskiem. Wreszcie ujrzałem zdaleka przystań, zatłoczoną okrętami i statkami. Po drugiej stronie barwiły się ulice Pery.

Spałem do późna tego dnia i pod wieczór dopiero wyszedłem z hotelu. Był to ostatni dzień mego pobytu w Konstantynopolu. Poszedłem którąś ze stromych uliczek w górę Złotego Rogu. Tuż nad wodą mały meczecik z jedną wieżyczką. Na pustem podwórzu trzepotało się parę gołębi. Nie wchodząc do meczetu, usiadłem na kamiennej ławce i patrzyłem w niebo. Okrojone linją muru, miało barwę głębokiego błękitu. A przede mną — w obramieniu furtki — lśnił i mienił się Złoty Róg. Jakgdyby ktoś bez przestanku sypał iskry na falę, które drgały w świetle wieczora — nikły — i zapalały się znowu. U brzegu chwiała się mała łódka. woda bulgotała, bijąc o drewniane ścianki, odsłaniała czarne, błyszczące w słońcu deski i znowu zalewała je zielonkawą strugą.. Gdzieś — dalej — małe żaglówki tkwiły nieruchomo w wodzie, jak ptaki.. Było coś niewypowiedzianie słodkiego w tej chwili — w tem miejscu — i w tej wieczornej godzinie... Myśli stawały się tak słodkie i rytmiczne, jak plusk fali o małą łódeczkę — zatracało się poczucie czasu... Nietylko woda i niebo, ale i dusza pławiły się w złocistem, miękkiem świetle wieczornego słońca...

— — — — — — — — —

Wieczorem w „Turquoise" zwróciło moją uwagę, że towarzyszący nam Turcy dyskutują o czemś z widocznem ożywieniem. Zagadnąłem jednego z nich. Podał mi francuską gazetę i wskazał odpowiednie miejsce. Czytałem: „... zabity został urzędnik poselstwa francuskiego (tu następowało nazwisko). Morderstwo miało miejsce dzisiejszej nocy i dokończone zostało zdradzieckim strzałem w plecy. Zwłoki znaleziono w pobliżu ruin...".

Czułem, że w moim mózgu powstaje jakiś wir — że coś zaczyna się mącić i rwać. Przeczytałem raz i jeszcze raz. Ktoś wziął mi z ręki gazetę. Siedziałem milczący. Koło mnie któryś z Turków perorował po francusku: „To jest okropne. To robią Grecy albo Bułgarzy. Ale zagranica tego nie pojmie, plama zostaje na nas".

Milczałem ciągle, niezdolny ani połączyć logicznie swych myśli. Wiedziałem tylko, że nie mogę nikomu nic powiedzieć, bo nie wiem sam i nie rozumiem, nie rozumiem...

Kilka godzin później znalazłem się znów na okręcie. Była ciepła, srebrna noc. Księżyc rzucał smugę światła przez całe morze aż do okrętu, który płynął lekko i cicho, jakby prowadzony przez tę białą wstęgę. Siedziałem znów na pokładzie i myślałem ciągle, czy moja dziwna noc w Stambule była prawdą czy majakiem wyobraźni? I co miała wspólnego z tragicznem ogłoszeniem francuskiego „Journale'u"? Oczy moje ślizgały się po pokładzie — i po księżycowej smudze i wracały znów do okrętu.. Z każdą minutą, z każdym ruchem statku byłem dalej od tego dziwnego pytania.

I do dziś dnia nie wiem, czy to, co widziałem w ciemnym domu za murem, zgubionym wśród zaułków Stambułu — było rzeczywistością czy snem wonnego opjum?

W ZIMIE – CIEPŁO
W LECIE – CHŁODNO

Kominek nadaje mieszkaniu miły i „ciepły“ wygląd, zwłaszcza jeżeli posiada ono zapasowy... piec!



Naturalne warunki atmosferyczne są w naszej strefie geograficznej dogodne dla organizmu ludzkiego tylko przez pewną część roku Im dalej na północ, tem bardziej warunki te się pogarszają. Człowiek zatem od najdawniejszych czasów zmieniał dokoła siebie warunki przyrodzone i i kształtował je w ten sposób, aby były one jaknajmniej dla niego dokuczliwe. Ta umiejętność kształtowania przyrody stała się podstawą rozwoju ludzkości na ziemi.

W tym sensie można powiedzieć, że „ognisko domowe“ dokoła którego skupiały się zmęczeni i zziębnięci ludzie pierwotni, stało się naprawdę podstawą rozwoju cywilizacji i kutury. Dzisiaj dach nad głową, mieszkanie opalone i wietrzone stały się dla nas już czemś tak zwyczajnem, że nie zdajemy sobie sprawy z tego, że jest to już pewnym aktem władzy człowieka nad przyrodą. Mówiąc zatem o sztucznym klimacie w sensie ogólnym, obejmujemy tem pojęciem także warunki temperatury, wilgotności i ciśnienia powietrza, które panuje w naszych domach mieszkalnych. W ścisłem jednak znaczeniu tego słowa pod nazwą „sztuczny klimat“, rozumiemy warunki, które wytwarzamy zapomocą nowowynalezionych specjalnych urządzeń.

W mieszkaniach naszych temperatura ulega tym samym zmianom, co temperatura na wolnem powietrzu, tylko z pewnem opóźnieniem i osłabieniem. Gdy rano w lecie termometr wskazuje na dworze 30 stopni ciepła a w mieszkaniu mamy tylko 22 stopni ciepła, wówczas powietrze w mieszkaniu wydaje się nam chłodne i przyjemne. Gdy pod wieczór temperatura na dworze spadnie do 15 stopni, to 20 stopni w mieszkaniu wydadzą się nam bardzo miłą i odpowiednią temperaturą. Gdy jednak temperatura w mieszkaniu w pewnej porze roku spadnie na stałe poniżej 16 stopni, odczuwamy ją po dłuższym czasie jako zbyt niską i pragniemy sztucznego podniesienia ciepła zapomocą ogrzewania. Odwrotnie znów, gdy temperatura w mieszkaniu będzie stale ponad 22—24 st., będziemy się czuli źle sposobu nadmiernego nagrzania. Granica górna temperatury, odpowiadającej naszemu organizmowi, odległa jest od dolnej granicy zaledwie o kilka stopni. Granice temperatury, w których organizm nasz dobrze się czuje, są zatem bardzo ciasne. Szczególnie dotkliwie jednak odczuwamy zbyt niską temperaturę.

Nic dziwnego, że dawny kominek, w którym tak żywo i pogodnie paliły się szczapy drewniane, posiada tak „dobrą prasę“. A jednak ten sposób ogrzewania mieszkań był nietylko rozrzutnością, ale właściwie także i niezbyt higjeniczny. Kominek taki ogrzewał mieszkanie wyłącznie na zasadzie promieniowania ciepła. Tylko strona, zwrócona ku kominkowi, korzystała z ciepła, a w kątach czaiło się zimno. Prócz tego kominek taki wytwarzał ogromne przeciągi i zabierał stale z pokoju ogrzewanego wielkie ilości powietrza, na miejsce którego wchodziło powietrze z zewnątrz zimne, nieogrzane. — O wiele lepsze były i są piece kaflowe, zwłaszcza te, które opalane są węglem. Do dziś dnia jest to właściwie najtańszy sposób opalania mieszkań, zwłaszcza mieszkań małych, w których obsługa kilku pieców nie odgrywa poważnej roli. Nic dziwnego że na opalanie mieszkań w piecach kaflowych idzie największą ilość węgla nietylko w takim kraju jak Polska, ale nawet w bardziej uprzemysłowionych Niemczech. Myliłby się jednak ten, ktoby przypuszczał, że nowoczesny piec kaflowy jest taki sam, jaki był w ubiegłym wieku. Nowoczesne piece kaflowe nie są już tak wysokie, tylko raczej krótkie i szerokie, kafle gładkie, bez zagłębień i zbytecznych ozdób. Drzwiczki szczelne z zakrętkami ze względu na to, że jak się przekonano, ciąg w piecu nie powinien być zbyt silny. Płomień winien być spokojny, a podczas palenia górne drzwiczki zamknięte, dolne zaś lekko uchylone. Gdy zaś węgiel zaczyna się żarzyć, zarówno górne jak i dolne drzwiczki muszą być szczelnie domknięte. Taksamo zmieniła się konstrukcja wewnętrzna pieców kaflowych. Ruszta średniej wielkości o szparach na 6 do 8 mm szerokich, wysokie palenisko oraz długie i niezbyt szerokie kanały, W nowoczesnych piecach kaflowych wyzyskanie wartości opałowej węgla dochodzi do 80%. Reszta ciepła służy do podtrzymania ciągu powietrza i odprowadzenia gazów spalinowych do komina.

Interesujące są również wyniki badań nad znaczeniem pewnych drobnostek dla należytego funkcjonowania pieca. Stwierdzono, że osad na kanałach piecowych popiołu lotnego, grubości 1 mm, zmieszanego z sadzą, powoduje już 10%-towy wzrost wydatków na węgiel. Każdy mm osadu, zmieszanego z częściami smolistemi, powoduje stratę jeszcze większą, bo aż 20%.

Jeżeli dla małych mieszkań jeszcze dzisiaj opalanie piecami kaflowemi uważane jest za najtańsze, to jednak dla mieszkań większych, począwszy od 4 pokoi, praktyczniejsze jest ogrzewanie centralne. Przy porównaniu kosztów obu rodzajów ogrzewania, konieczne jest uwzględnienie tego, że przy ogrzewaniu centralnem opalamy cały szereg pomieszczeń w mieszkaniu, które normalnie nie bywają opalane, jak np. korytarze, przedsionki, łazienki i td. Ponadto zmniejszenie wydatków na obsługę oraz czystość, łatwość regulowania temperatury i odjęcie gospodarstwu troski o dostawę opału i usunięcie popiołu, wreszcie potrzeba mniejszej ilości kominów itd., wszystko to stanowi dodatnie strony ogrzewania centralnego.

W urządzeniach tych najczęściej stosuje się wodę, jako dobrego przewodnika ciepła, w postaci pary o niskiej prężności, bądź też, i to najczęściej, w postaci płynnej, tj. wody ogrzanej do temperatury około 90 stopni. System rurociągów jest tak zbudowany, że ciepła woda, jako lżejsza, sama wypływa ku górze, a po oddaniu ciepła w kaloryferach, jako cięższa, samorzutnie wraca do kotła, gdzie znowu się ogrzewa. Taki obieg kołowy przewodnika ciepła, powoduje wielkie oszczędności i doskonałe wyzyskanie paliwa.

O ogrzewaniu mieszkań zapomocą gazu i elektryczności narazie marzyć mogą tylko nieliczni, albowiem przeciętnie pewna określona ilość ciepła kosztuje 4 razy więcej przy paliwie gazowem, a 15 razy więcej przy prądzie elektrycznym, niż przy zwyczajnem paliwie węglowem.

O ile na należyte ogrzewanie mieszkań już oddawna zwrócono uwagę, to na konieczność wietrzenia dopiero w ostatnich czasach kładzie się większy nacisk. Przypomnijmy sobie jednak, że człowiek przynajmniej 1/3 doby spędza w mieszkaniu i że ilość powietrza, wdechiwanego przez dorosłego człowieka wynosi 13 do 16 kg dziennie, a zatem kilkakrotnie więcej, aniżeli całkowita ilość pokarmów. Powietrze czyste, wolne od kurzu i możliwie też od bakteryj, zawierające odpowiednią ilość wilgoci, jest nieodzownym warunkiem zdrowia. Ciekawe jest, że urządzenia do racjonalnego wietrzenia pomieszczeń ludzkich zastosowano przedewszystkiem w przemyśle, a zwłaszcza w przemyśle tekstylnym. Powiadają, że w Ameryce niema prawie żadnego wyrobu przemysłowego, przy którego produkcji nie zastosowano sztucznej klimatyzacji, a raczej sztucznego wietrzenia. Wykazano, że w biurach, posiadających urządzenia dla sztucznego wietrzenia, ilość zachorzeń wśród personalu wskutek przeziębień zmniejszyła się do połowy. Wietrzenie mieszkań ma szczególne znaczenie w zimie, gdy okna są przeważnie zamknięte i grzejniki, znajdujące się w mieszkaniu, wysuszają powietrze i psują je produktami spalania cząsteczek pyłu, znajdujących się na zewnętrznej powierzchni grzejników.

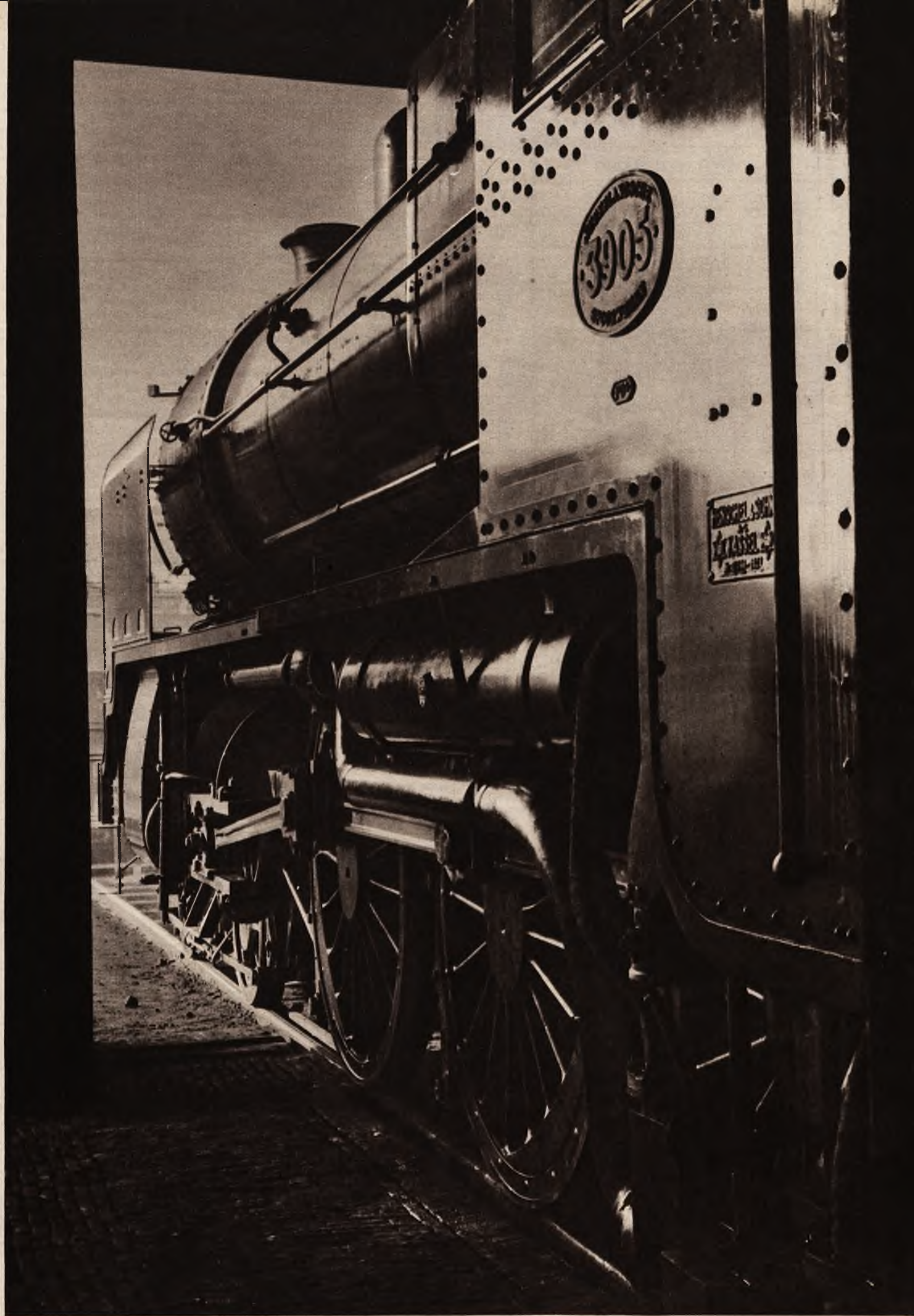
Nasunęła się przeto myśl ogrzewania mieszkań zapomocą ciepłego powietrza. Byłoby to bowiem racjonalnem połączeniem dwóch ważnych czynności ogrzewania i wietrzenia. Początkowo jednak urządzenia do tego celu służące, spełniały swoje zadanie bardzo kiepsko. Dopiero w ostatnich czasach udoskonalono je tak dalece, że stanowią one obecnie ostatni wyraz komfortu. Do urządzenia takiego, które można już śmiało nazwać urządzeniem dla wytwarzania sztucznego klimatu, należy przedewszystkiem, filtr powietrzny, dmuchawa, pędząca powietrza poprzez filtr a skierowująca je przez generator cieplny, gdzie powietrze styka się z ogrzaną powierzchnią grzejnika. Powietrze ogrzane przechodzi następnie przez zwilżacz, gdzie otrzymuje dostateczną ilość wilgoci. Wreszcie poprzez przewody dostaje się do poszczególnych pokoi. Przewody te muszą mieć takie wymiary, aby powietrze

Dokończenie na str. 31-ej.



NERWY

Na odgłos komendy, czy też muzyki, nerwy mądrego i rasowego konia zaczynają wibrować, pobudzając go do największych wysiłków. *Fot. Wide World Photos.*



SPOKÓJ MASZYNY

Z bezduszną, lecz ściśle obmyśloną precyzyjnością maszyna pracuje kierowana obliczeniami wynalazcy, nieubłagana i nieustępliwa. *Fot. Willem Van de Poll — Amsterdam.*

Indje, ojczyzna jaroszów

Świątynie hinduskie nie mają sobie pod względem bogactwa architektury równych na całym świecie. Na zdjęciu świątynia w Mandalaj stolicy Birmy.

W obecnych czasach, gdy jarstwo zdobywa sobie coraz więcej zwolenników również wśród lekarzy, zainteresuje zapewne szerokie rzesze czytelników, jak się na jarstwo zapatrują w kraju, który był niejako kolebką tego nowo propagowanego systemu odżywiania, t. j. w Indjach.

Wiara w siłę kosmiczną, t. j. pochodzącą z gwiazd wszechświata, jest podłożem wszystkich magicznych hinduskich rytuałów i religijnych praktyk. Podstawą jarstwa jest łaskawość dla zwierząt i wiara w świętość odwiecznych form życia.

W Indjach są sekty, które nie jedzą mięsa przy żadnych okazjach. Są to grupy Jainów, którzy czczą wszelkie formy życia. Jednak nie tutaj znajdziemy tajemnicę szacunku dla życia embrjonalnego, które jest podstawą jarstwa. Jest dużo szczepów, które zabraniają jedzenia mięsa, tylko przy specjalnych okolicznościach. Te prawidła, które raz pozwalają jeść mięso a innym razem znów zakazują, są najlepszym dowodem, że nie chodzi im o ogólną wiarę w świętość wszelkich form życia ani o dobroć dla zwierząt. Gdyby tak było, nie byłoby wyjątków. W tych wypadkach, kiedy jedzenie mięsa jest „tabu", możemy znaleść prymitywną rację kultu jarstwa.

Myśl prymitywnego człowieka uważała, że niejedzenie mięsa jest uniknięciem czynu, który niszczy siłę kosmiczną i przez to samo niszczy możność zdobycia jej przez człowieka. Człowiek prymitywny nie zabija zwierząt nie dlatego, że je lubi lub uważa że mają prawo do życia, lecz dlatego, że uważą zabijanie ich za umniejszenie swoich szans zdobycia siły kosmicznej. Takie ustosunkowanie się do zagadnień bieżących spotykamy nieraz u ludów, które zachowały pierwotną praktyczność i pozytywny punkt widzenia na życie.

Człowiek prymitywny patrzy się na te rzeczy egoistycznie. Pojęcie świętości życia obchodzi go o tyle, o ile może wpłynąć na jego osobiste szanse zdobycia władzy czy potęgi. Nic go nie łączy z mentalnością współczesnego filozofa lub z nakazami Świętych Ksiąg Hinduskich, co do poważania należnego zwierzętom.

Podam tu przykład, który odrazu zobrazuje różnicę pomiędzy prymitywnemi a współczesnemi pojęciami.

W prowincji Gujerat, w rezydencji Bombaj — farbiarze perkalów wykonywują swój zawód tylko przez 8 miesięcy, natomiast przez 4 deszczowe nie pracują, gdyż do farbowania używają specjalnych robaczków, których nie chcą zabijać w miesiącach deszczowych, gdyż uważają, że i tak dosyć ich ginie w tym okresie. Oni nie dbają o życie samo, tylko o siłę kosmiczną. Miesiące deszczowe są miesiącami osłabienia siły kosmicznej a przez zabijanie jeszcze bardziej by się ona osłabiła.

Wiara w siłę kosmiczną istnieje u licznych szczepów hinduskich, np.: Talwar, Kabbar, Korava, Lamani i wiele innych.

Wierzą one, że się ona manifestuje w związku z ruchem planet i gwiazd oraz księżyca w dniach nowiu i pełni, zwanych po hindusku Amavasya i Purnima. To samo odnosi się do dni kiedy słońce i gwiazdy przechodzą z jednego znaku zodjakalnego do drugiego również w czasie zaćmienia słońca lub księżyca. W dnie takie Hindusi którzy nagół jedzą mięso, przestają go spożywać. Chodzi mianowicie o to, żeby w chwili największego napływu siły kosmicznej w związku z ruchem gwiazd niczem nie umniejszać swoich szans czerpania z tej siły.

Kobieta ze szczepu Vaddar nie może gotować ani jeść mięsa, gdy jej mąż udał się na pielgrzymkę, gdyż mogłaby przez to zniweczyć korzyść z tej pielgrzymki, która zależy właśnie od tej „siły". Również mężczyzna ze szczepu Vaddar wstrzymuje się od jedzenia mięsa, jeżeli ma zakładać fundamenty nowego domostwa.



Na dziedzińcu świątyni w Delhi pożywiają się wegeterjanie.
Fot. M. D. Borkowski.

Rytuał rolniczy jest pełen śladów prymitywnej myśli i wciąż się w niem pojawia „tabu" jedzenia mięsa. Szczep Mahar i Talwar zachowuje jarstwo podczas siewu a nawet wtedy, gdy odmierza ziarno na siew. Nie wolno nawet trzymać mięsa w pobliżu bawołów i dojnych bydląt, ani też blisko pługów i innych narzędzi rolniczych oraz drzew owocowych i masła.

Podczas święta rosnącego zboża nie wolno używać mięsa. W szczepie rolniczym Raddi nie wolno nikomu przystąpić do zasiewu, kto ma na sobie znak krwi. Kobiecie, która się ukłuła w palec, nie wolno brać ziarna ze spichrza ani też doić krów.



Stuletni starzec, gorący propagator jarstwa z okolic Benares.
Fot. M. D. Borkowski.

Chodzi o to, że rezultat wszystkich prac rolniczych zależy od siły kosmicznej, jak również jeżeli chodzi o obfite plony.

Ktoś kto zabił zwierzę nie na ofiarę, nie może złożyć hołdu bóstwu. Również w szczepie Vaddar i Tekki nie wolno składać ofiary bóstwu w dzień, w który się jadło mięso.

Członkowie szczepu Gondhali unikają mięsa w dzień poświęcony jakiemuś Guru (nauczycielowi).

Gdy Hindus zapada na ospę, członkowie domu muszą unikać mięsa w czasie 7 dni. Tak samo nie wolno jeść mięsa w czasie epidemji cholery.

Jarstwo obowiązuje również poczas przygotowania zaklęć i amuletów lub przed rozpoczęciem jakiejkolwiek ważnej czynności. Wszystkie te przykłady wykazują pewne cechy wspólne. W każdym wypadku chodzi o to, że jest coś do zrobienia, co ma przynieść pewien dodatni rezultat.

Rozważanie tych wszystkich czynników przywodzi nam na myśl, że argumenty przytaczane zarówno na Wschodzie, jak i Zachodzie w obronie jarstwa nie ukazują nam prawdziwego źródła tej „ideologji". Widzimy bowiem, że kult wegetarjańswa opiera się na pojęciu istnienia siły kosmicznej i na chęci ciągnienia z niej korzyści przez poszczególnych ludzi. Prymitywna ta filozofja została jednak zagubiona w myśli współczesnej i mało się o niej mówi w literaturze.

Z punktu widzenia gospodarczego jarstwo tak rozpowszechnione w Indjach, jest zjawiskiem ujemnem. Spowodu zakazu zabijania zwierząt, plaga tak zwanych „świętych krów" tak się rozpowszechniła, że spotyka się je na każdym kroku, nietylko po wsiach, ale nawet na ulicach miast.

Z powyżej przytoczonych słów widzimy, że w Indjach panuje jarstwo jedynie ze względów religijnych, podczas gdy u nas propaguje się go li tylko ze względów zdrowotnych. **Mieczysław Dunin-Borkowski.**

Messaliny – Lukrecje – Ksantypy...

Jakkolwiek kobieta przypomina nieraz swym charakterem kameleona, przybierając ciągle inny wyraz, to jednak i ją możnaby sklasyfikować podług kilku zasadniczych typów. Są więc kobiety Ksantypy, dopust boży dla mężów, są Penelopy, wierne małżonki oddane domowi, są Messaliny, spotyka się też Lukrecje i Beatricze. A poza temi typami nie należy zapominać o różnych bezimiennych, które również spełniają w życiu swoją rolę.

Ksantypa była jedną z nielicznych pracowitych małżonek greckich, które przeszły do historji; tej jednak herostratowej sławy nie pozazdrości nikt Ksantypie. Kto wie czy całkiem słusznie przypadł małżonce Sokratesa tak srogi los w udziale, jako poprzedniczce całej plejady mniejszych i większych „sekutnic". Zaprawdę trudno wyobrazić sobie tę personifikację jędzy, otuloną w miękkie powłóczyste fałdy chlamidy, z greckim węzłem na karku! Uzmysłowilibyśmy ją sobie raczej ze sterczącym „kokiem" na głowie, ściśniętą w pasie jak osa, zamiatającą kurz podłogi ogoniastą „kiecką"! Toteż przypuszczamy, że wieści, jakie nas doszły o niej są mocno nabrzmiałe przesadą, wprost proporcjonadne do minionego czasu

Sokrates był wielkim mędrcem, filozofem, nauczycielem, — o tem wszyscy wiemy, ale komuż z nas jest wiadomem, jakim był on mężem w domowem pożyciu? Dyskutując całemi dniami w gronie swych uczniów i wyładowując swą elokwencję na ulicach Aten — zachowywał się prawdopodobnie zbyt milcząco w domu wobec swej żony. Cóżby więc było dziwnego, gdyby denerwujące i obojętne milczenie męża, żona zrekompensować chciała zbytnią „terkotliwością"? Zaryzykujmy twierdzenie, iż nieszczęściem Ksantypy było to, że miała Sakratesa za męża. Jako żona zwykłego zjadacza chleba nie byłaby przeszła do historji. Było zapewne w biegu stuleci znacznie więcej „przyjemniaczek" w rodzaju Ksantypy, które jednak przepadły w pomroce dziejowej, jakoże nie miały... filozofów za mężów. Filozofowie nie są może najlepszym materjałem na mężów, co jednak nie wyklucza, że można być Ksantypą u boku... niefilozofa!



Lukrecja Borgia mimo swego „słodkiego" imienia, pozostawiła w historji pamięć kobiety pozbawionej wszelkich skrupułów moralnych.



Reprezentantką genjalnych kobiet o szlachetnym charakterze, a równocześnie dobrych żon była śp. Marja Curie-Skłodowska.



Krystyna Vulpius, żona Jana Wolfganga Goethego, posiadała umysłowość przeciętnej, małomiasteczkowej „panusi".

Penelopa, wierna małżonka Odyssa, nie ma zaprawdę potrzeby obawiać się konkurencji. Powiadają, że wierność idzie często w parze z głupotą. W danym wypadku byłoby w tem twierdzeniu nieco słuszności Tu jednak leżała głupota po stronie konkurentów, którzy dawali się tumanić przez 20 lat! U Penelopy podziwiać musimy nadludzką cierpliwość. Za dnia szyć i wyszywać, aby nocą wypruwać ściegi, by znowu następnego dnia „ab ovo" zaczynać syzyfową pracę przy płaszczu Laertesa i tym sposobem stale odraczać niestrudzonych zalotników — to nie na dzisiejsze czasy! Odysseusz XX wieku po swym powrocie do domu, nie ujrzy tęsknie po 20 latach wyglądającej go małżonki — ale będzie raczej „niepotrzebnym człowiekiem".

Jakkolwiek Penelopa niedoścignioną pozostała — jeśli chodzi o długotrwałość swej małżeńskiej wierności — to jednak nie zabrakło Penelopek mniejszego autoramentu. Choćby n. p. taka polska Małgorzata z Zębocina! Mało to się naczekała na swego męża, który z Bolesławem Śmiałym na wyprawy wojenne ruszyli. Lata upływają, ona konkurentów odpala i czeka. Albo taka Izabella, regentka niderlandzka, córka Filipa II. Poszedł mąż (arcyksiążę austrjacki Albrecht) na wojnę a wierna małżonka ślubowała, że koszuli nie zmieni, aż mąż po zdobyciu Ostendy nie wróci. Trzy lata minęły, a wierna Izabella wytrwała w koszuli mleczno-kawowej barwy (stąd określenie „izabelowaty"). Dzisiejsze Izabelle stosowałyby na punkcie koszul wręcz przeciwną metodę.

Mimo wszystko wierne żony nie przeszły całkowicie do panoptikum. Znajduje się jeszcze wśród żyjących ku pocieszeniu zwątpionych, ale często ku udręce własnych mężów.

Zarówno imię Messaliny (małżonki cesarza rzymskiego Klaudjusza), jak i Lukrecji (siostry głośnego Cezara Borgii), stało się synonimem wyuzdania i zbrodni. Przypisują im instynkty krwiożercze. nienasycony temperament, deptanie po trupach dla zaspokojenia swych namiętności. Historja starała się później wybielić poniekąd te przedstawicielki zbrodniczej miłości. Niektórym apologetom udało się nawet w stosunku do Lukrecji stonować nieco krwawy odblask zbrodni, aczkolwiek i poprzez biały tynk — purpura nadal prześwieca. „Jak rękawiczki zmieniały mężczyzn" — powiada o nich historja. Jeżeli chodzi o mężów legalnych miała ich Messalina tylko dwóch, Lukrecja ledwie trzech; liczba wcale skromna. W tym kierunku przewyższałaby je w naszych czasach m. in. posiadaczka najpiękniejszych klejnotów, urocza Peggy Joyce, która miała już dotychczas pięciu mężów, a wnosząc z młodego jej wieku, jeszcze raz tyle uszczęśliwić potrafi. Dzisiaj ta tylko zachodzi różnica, że znikły opary krwi, zamilkły jęki ofiar, uszlachetniły się instynkty.

Typ Messaliny uległ obecnie sublimacji, nie wygasł jednak ku uciesze świata męskiego. „Rozsiewać — bowiem — radość wokoło dla wszystkich, to nasze zadanie", tak mówią Messaliny i Lukrecje anno 1935.

Laury, Beatrycze, wyidealizowane w snach postacie bogdanek.. Beatrycza Dantego, Laura Petrarki — to więcej zjawy niż istoty z krwi i kości. Były takiemi, jakiemi widziały je fantazja i dusza poety. Typy to na wymarciu, wymarli bowiem ich piewcy. Dzisiejsi poeci zakładają szkła à la Harry Lloyd — stąd niema więcej Beatrycz, Laur, Maryl i t. p.

Żony poetów, uczonych podpadają właściwie pod rozmaite kategorje Między innemi rozróżnia się tu: żony-gospodynie w rodzaju Krystyny Vulpius (żony Goethego), potrzebne dla lepszego trawienia żołądka; żony-motyle, przy których umysł wypoczywa, a oko poi się wdziękiem (Matylda, żona Heinego i inne podobne beztroskie lale) i wreszcie... żony-towarzyszki. Mnóstwo ich było tych cichych, pełnych poświęcenia pracownic, żyjących w cieniu swych wielkich mężów, którym niejednokrotnie ci ostatni zawdzięczają swą sławę. Wystarczy przeczytać „Łowców mikrobów" de Kruifa, by przekonać się, czem byliby dobroczyńcy ludzkości, gdyby nie było zdolnej do ofiar małżonki Pasteura, dzielnej współpracowniczki Miecznikowa — Olgi, lub nieustraszonej małżonki Pruce'a, zwalczającej z nim razem, w ustawicznem narażeniu życia okrutną chorobę śpiączki w odległych zakątkach Afryki. Żony-towarzyszki uczonych mają nie mniejsze prawo do zasług mężów, a jednak niewdzięczna jest ich rola.

Jest jeszcze wiele typów kobiecych, które nie sposób wymienić. Jeden atoli rodzaj już ze względu na swoją liczebność zasługuje na wzmiankę. Są to kochające żony, czułe troskliwe matki, zapobiegliwe gospodynie.

Powiadają, że i ten rodzaj ma prawo do egzystencji...

Felicja Stendigowa.





Powyżej: Oto sinobrody król Henryk VIII, którego genjalnie skopjował Laughton. — Na lewo: Kreacja znanego artysty Laughtona jako Henryka VIII — należy pod względem stylowości" jak również gry, do najlepszych jakie dotychczas stworzono.



Słynna artystka Greta Garbo zdołała jako królowa Krystyna oddać rysy charakteru wielkiej królowej o męskiem usposobieniu.



Marlena Dietrich, rywalka Elżbiety Bergner jako cesarzowa Katarzyna II.



Katarzyna II, którą dwie wielkie artystki zupełnie odmiennie interpretowały.



Na lewo: Elżbieta Bergner jako cesarzowa Katarzyna II



W kole: Antonius i Kleopatra — William Warren i Claudette Colbert, to para kochanków, która doczekała się poza obfitą literaturą poetyczną — wspaniałego filmu.

ORYGINAŁY I KOPJE

Zarówno w sztuce scenicznej jak też w filmie opartych na tematach historycznych nasuwają się znacznie liczniejsze zapytania odnośnie realizacji tematu, jak w innych sztukach. Nie wystarczy bowiem dobrze odegrać swoją rolę lub stworzyć piękne, bogate dekoracje, lecz przedewszystkiem musi to być stylowe.

Film będąc nietylko materjalnem następstwem olbrzymich postępów technicznych ludzkości, ale również łącząc się psychologicznie z dzisiejszem pokoleniem, jako jej optyczny wykładnik, siłą faktu musi być żywiołowy, a cała jego siła spoczywać w aktualności Te cechy współczesnego filmu są zaporą w realizowaniu filmów historycznych. Wiemy wprawdzie, że każda wielka wytwórnia posiada obfitą bibljotekę, z której czerpie „natchnienie“ historyczne, oraz doradców specjalistów, którzy są „au courant“ historji, ale nawet wtedy, gdy twórcy filmu wiedzą, jak ma wyglądać obraz, nie realizują go w tych ramach wiedząc, że publiczność tego i tak nie oceni. Biorąc pod uwagę gusty bywalców kinowych, ich poglądy, słuszne czy fałszywe na zagadnienia historyczne, reżyserzy, nolens volens, dostosowując się do nich, tworzą jakąś pseudohistoryczność, właściwą jedynie filmom i kiepskim teatrom. Nie zawadzi, jeżeli poprzemy nasze twierdzenie przykładami. W wspaniałym zresztą dzięki grze Barrymoora jako Rasputina filmie „Ostatnia carowa“, Mikołaj II występuje w bogato złotem haftowanym białym mundurze, na głowie dźwiga czapkę futrzaną z białą kitą, a cały jest wprost zasiany orderami. Już sam ten szczegół jest klasycznym anachronizmem, gdyż nawet w najbardziej uroczystych ceremonjach cesarz rosyjski nie wkładał na siebie mundurów paradnych, kontentując się zielonkawym mundurem pułkownika strzelców syberyjskich. Lecz i tu zachodzi pytanie: czyby przeciętny widz kinowy uwierzył, że samodzierżca Wszechrosji nosił jedynie skromny mundur. W „Katarzynie Wielkiej“, granej przez Marlenę Dietrich starano się uwidocznić widzom egzotyzm ówczesnej Rosji w sposób więcej jak dziecinny. Polegał on na tem, że np. w sali jadalnej Carskiego Sioła meble rzeźbione były w jakieś chimery, postacie apokaliptyczne, co właśnie miało być egzotyzmem dostosowanym do pojęć publiczności.

Jakież jest trudne zadanie aktorów, gdy mają zadowolnić nietylko prawdę historyczną, dać ciekawą koncepcję psychologiczną swej roli, ale również grać daną postać tak, aby była zrozumiała dla ogółu. To „wewnętrzne łamanie się“ aktorów widoczne jest nieraz nawet w najlepszych filmach.

Przyznać trzeba, że kino w ostatnich czasach dojrzało i.. zmądrzało. Mało jest jednak takich filmów historycznych, któreby można nazwać klasycznemi. Jeżeli chodzi o grę głównej bohaterki, Claudette Colbert w filmie „Kleopatra“, to należy uznać ją za bez zarzutu, tą ...ną jednak wysoką klasę wykazała Elżbieta Bergner w „Wielkiej Katarzynie“, przedstawiając w nadwyraz subtelny sposób powolny rozwój psychologiczny nieznaczącej księżniczki niemieckiej, przedzierżgającej się powoli w Semiramidę Północy. Niezrównanym oczywiście tuzem historycznych ról jest też Laughton, grający rolę Henryka VIII. Jakkolwiek znowu Greta Garbo grała wspaniale w „Królowej Krystynie“, to mistrzowską jej grę psuły pewne niedociągnięcia scenarjusza pod względem historycznym.

Reżyser amerykański jest po większej części w zupełnej niemożności stworzenia dobrego filmu historycznego, nie odczuwa on bowiem atmosfery europejskiej, przesiąkniętej tradycją. Są jednak filmy niehistoryczne, w których udało się wydostać ten właśnie podkład psychologiczny, grający również dużą rolę w filmach historycznych. Trudno zapomnieć kilku drobnych, ale jakże wyrazistych scen z filmu „Marsz weselny“, reżyserji Józefa v. Sternberga, w których tak plastycznie ujawniają się formy życiowe, tradycja i charakter dawnej monarchji austrjacko-węgierskiej. — Większość filmów osnutych na dziejach Austro-Węgier, jak również i te, w których występuje jako konieczne akcesorjum Franciszek Józef, przedstawiają obraz nader smutny, przypominają bowiem zwykłą parodję lepiej lub gorzej zagraną. Jedynie pięknej Lill Dagover udało się zrealizować wspaniale *Dokończenie na str. 31-ej*



PODSYPAŁ – *nie nabit...* WYSTRZELIŁ – *nie zabit...*



GAWĘDA MYŚLIWSKA ★ K. SZCZEPAŃSKI (Eska)



Kucharka krzyknęła przeraźliwie...

Tytuł gawędy mojej będzie niezrozumiały dla młodszej a może nawet i starszej generacji myśliwych, nieznających już broni, nabijanej zgóry.

Ja taką broń pamiętam i strzelałem z niej. W rożku był proch, w kieszeni śrut zawijany w papier i rozdzielony na naboje, a przy rożku miarka na proch i osobno krążek ze spłonkami do nakładania na kominki strzelby. Naturalnie musiały być także kłaki konopne albo papier na przybitki i dobry stempel.

Trzeba było przechylić rożek z prochem, aby się odpowiednia ilość nasypała do miarki, odsunąć zastawkę, wsypać proch do lufy, wsadzić kłaki na przybitkę, przybić stemplem, odgryźć papier i wsypać śrut, znów stempel i wreszcie założyć spłonkę na kominek. Procedura długa, a jednak przy wprawie za pół minuty była dubeltówka gotowa do strzału. Przy wielkiej wprawie to prędzej. Dwa, trzy umiejętne uderzenia stemplem wystarczały, by stempel wyskakiwał z lufy jak pod działaniem sprężyny. Chadzali z takiemi „pompówkami" myśliwi na dziki i na niedźwiedzie i byli często lepszymi myśliwymi, niż obecni z bronią repetjerową.

Dawało się dużo prochu a mało śrutu wedle starej niemieckiej recepty: *„Viel Pulver wenig Schrot — ist der Hase sicher todt"*.

Kiedym zaczął polować, była już broń odtylcowa, ale jeszcze dość często gęsto można było, zwłaszcza dalej od miast, napotykać stare pistonówki. Strzelby te biły doskonale, choć nieraz wylot lufy był już cieniutki jak papier. Tak był wystrzelany.

Miałem lat coś dziewięć czy dziesięć, kiedy mi ojciec sprawił flobert za dobre świadectwa. Zacząłem strzelać *(Pan Bóg czuwa nad dziećmi, pijakami i warjatami)* wróble. Jakoś nikogo nie uszkodziłem. Raz tylko przestrzeliłem furmanowi czapkę, za co dostałem porządnie w skórę, drugi raz sobie rękę, za co również odpowiedziałem skórą, jako, że kto nie ma miedzi *(a ja jej nie miałem)* płaci tem, na czem siedzi. Były to lata sielskie, anielskie. Ze wszystkich rynien na dachu, na których siadywały wróble, lało się po deszczu strużkami przez dziurki od kul, ale strzelać nauczyłem się „ekspedite".

Byłbym spewnością bił rekordy z broni małokalibrowej — cóż kiedy w owych czasach rekordy jeszcze były nieznane, a bronie małokalibrowe nazywały się hurtem — flobertami.

A propos strzelania przypomniało mi się jedno wydarzenie. Staś, kolega mój, twierdził raz, że kula wystrzelona nie rozbije szyby. Wydrąży w niej tylko małą dziurkę. Ale nie kula z flobertu, tylko z karabinu. Dyskutowaliśmy zawzięcie. Wreszcie Staszek powiedział, że u gajowego jest stary „Werndel" i że niema innej rady, tylko trzeba sprawdzić. To przynajmniej będzie dowód, bo kula jest taka duża jak kluska, co się nią tuczy gęsi. Dobra. Staszek ściągnął gajowemu karabin, obeszliśmy dom od tyłu, żeby ewentualnie nie rozbić szyby na froncie. No i ja wygarnąłem, aż mi gęba spuchła i sam leżałem jak długi na ziemi. Zrobił się gwałt w domu i wrzask. Kula wybiła wprawdzie w szybie tylko dziurkę, ale dalej rozwaliła lampę, przebiła ścianę i wyrżnęła z hukiem w garnek żelazny, który kucharka właśnie stawiała na piecu. Kucharka krzyknęła przeraźliwie i zemdlała ze strachu, a ja dostałem od ojca takie lanie, że do dziś dnia pamiętam ten basarunek. Aleśmy hipotezę stwierdzili dokumentnie.

Mijały lata. Jako wyrostek dostałem na gwiazdkę strzelbę. Strzelbę prawdziwą. Czy wiecie, co to znaczy? To patent na bohatera — to prawie cud. Czem wobec tego nowa suknia balowa dla młodej panny, a nawet główna wygrana na loterji? Tamto a strzelba — ani porównania. To prawie tak, jak pierwsza miłość.

W „Łowcu" czytywałem opisy polowań naszych sławnych myśliwych Spausty, Kisielewskiego, Krogulskiego... Wczytywałem się w sceny, dotyczące łowów w „Listach z Afryki" Sienkiewicza i wchłaniałem to wszystko, dzierżąc w ręku strzelbę jak najczulszą towarzyszkę i najwierniejszego przyjaciela. Byłem we własnych oczach bohaterem. Marzyłem.

Potem sprowadzaliśmy ze wszystkich możliwych fabryk broni i sklepów cenniki. Masami. Nie było nad to piękniejszej lektury. Chyba „Duch puszczy" — a dawniej jeszcze „Robinzon Kruzoe".



Podsypał nie nabił, wystrzelił nie zabił!



Siedziałem tu może ze dwie godziny...

Ale wróćmy do łowów. Na kury, kaczki, zające polowałem już jako wyrostek — właściwe myśliwstwo zaczęło się dopiero w górskim terenie z psami, u wuja, na południe od Rzeszowa. Wuj, ongiś właściciel dużego majątku na Litwie, po powstaniu wrócił z emigracji do kraju, nabył kilkusetmorgową wioskę, majątek przeważnie leśny. Człowiek z dawnych czasów, o dawnych poglądach, dedukujący np. — *„demokrata"* od *„dom okradł"*. Był doskonałym myśliwym, a że miał język ostry i dowcip cięty, dawał mi dobrą szkołę. Drwił i kpił bez litości przy każdym błędzie. Ilekroć źle podbiegłem na gon, albom zimą w wietrzną porę poszedł szukać zająca do lasu, zamiast go wypatrywać na roli pod bruzdą, jednem słowem, jakieś myśliwskie popełnił bluźnierstwo, stawał naprzeciw mnie, mrużył oczy i deklamował:

Podsypał, nie nabił,
wystrzelił, nie zabił...

On to mnie nauczył, że pierwszem prawem myśliwskiem jest umieć zwierzynę spotkać, dobrze strzelić i podnieść.

U niego strzelałem do mojego pierwszego rogacza.

Wyjechaliśmy do lasu konno — stary Mateusz (o którym wuj mawiał, że strzelał pod każdy krzak, a potem patrzył, czy czego nie zabił) — prowadził Zagraja, Śpiewkę i Lotkę. Na górze zsiedliśmy z koni, a Mateusz został na dole, żeby podłożyć psy. Dzień był słoneczny, jasny, bez wiatru. Wzięliśmy dwa mioty — bez rezultatu. Mateusz strąbił psy. Co teraz? Ano chodźmy na „Stracony Zrąb". Tak się nazywała ta część lasu, jak gdzieś na rolach „Dział", albo inna... „Świńska Krzywda". „Straszny Zrąb", na którego brzegu miałem stanowisko, był pokryty płytkim śniegiem, spod którego sterczały pnie ściętych drzew. Zrąb wznosił się niezbyt stromo. Słońce wymalowało pejzaż bosko. Śnieg niebieski w cieniach, pod światło błyszczący miljonem gwiazdek, a igliwie boru, bramującego zrąb, tworzyło kontrastowe, ciemno zielone, fantastyczne kulisy tego cudownego amfiteatru. W starodrzewiu lasu krwawiła się

wśród szarych buków karminem sosna. Mróz był może najwyżej czterostopniowy Reaumura. Wtedy wolno jeszcze było obywatelom marznąć — jak mówi Dymsza — „sposobem" Reaumura.

Siadłem na lasce myśliwskiej za grubym pniem ściętego buka. Przede mną była cała miotła iwiny i suchych badyli ostrężynowych. Ukryty byłem znakomicie.

Siedząc i czekając, utonąłem w marzeniach.

Coś zachrobotało za mną. Skrob, skrob.. cichutko, bardzo cichutko, ale na stanowisku wszystkie zmysły są wyczulone, nic nie ujdzie uwagi. Skro... Co to? E — to wiewiórka drze pazurkami o korę sosny. Teraz coś znów puka... puk, puk, puk... acha — kraśny dzięcioł kuje pracowicie w drzewo... nagle gwizd! ...Co to? teraz kos śmieje się z dzięcioła...

— Ach! Co ty robisz?

— Ja? Nic! Ja, ja tylko robaczki, ro — bacz — ki... puk, puk, puk... Kos obrażony zerwał się z gałęzi i czarną linją swego lotu przekreślił białą plamę śniegu na zrębie. Przeleciał na tamtą stronę i siadł na dębie. Nic go nie obchodzi dramat, który się tu ma rozegrać. Co mu tam...

Teraz wszystko ucichło. Jest dziwnie błogo. Taki spokój...

Zdaleka zza gór doleciał jakiś słaby pogłos. Stłumiony, ale mimo to dość wyraźny. To gon. Znów cisza. Nad przełęczą ruszył lekki wiaterek, szedł poszum, jakby kto olbrzymią, ale bardzo miękką dłonią głaskał delikatnie puszysty aksamit koron drzew.

Czas płynął koło mnie — siedziałem już może ze dwie godziny. Słońce przerzuciło się na drugą stronę ku Czudcowi i rzucało ukośne światła — już trochę różowawe.

Dumałem nad niesprawiedliwością losu. Bo i cóżby komu szkodziło, gdyby teraz z gąszczu wychylił się lis, machnął kitą beztrosko i poszedł wprost na mnie. Przecież wiatr szedł ode mnie, a ja siedzę cichutko i ani drgnę... Zadowolę się zresztą i zającem, ale właściwie dlaczego nie mogłyby wyjść sarny, dlaczego nie dzik? Cóż to znów tak wielkiego ten dzik?! Mateusz mówił, że na bagienku pod zrębem widział wczoraj świeżo zryte...

I co znowu z temi psami? Gdzieś przepadły i ani słychu, ani dychu... Kos znowu przeleciał nade mną. — Dwie godziny siedzisz — sie — dzisz — dzisz. Poco? Poco! — drwił ze mnie. Ej, żeby nie rozum, już jabym cię ściągnął na ziemię czarny djable...

Zwątpienie mnie ogarnęło. Dzień się już przegina na drugą stronę, a tu nic i nic...

Ale trzeba wytrzymać. Zaciąłem się. Cierpliwości!!!!


Byłem we własnych oczach bohaterem!

Nagle jakiś daleki dźwięk. Co to? Jakby z piwnicy, gdzieś od strony Baryczki odezwał się zza góry niski, głęboki gon. Krew zbiegła do serca. Tak, to psy. Nareszcie... A może to złudzenie? Ucichło. Po chwili coś, jakby z drugiej strony, zadźwięczało — znów inny głos, dotkliwy, jazgotliwy... Acha, to Śpiewka. Odezwała się raz, drugi. Tak, to Śpiewka. A tamto, to Zagraj. Poczciwe pieski zławiają się. Poczciwe dobre pieski, dowodne pieski. O jest i trzeci głos. To Lotka. Grają coraz wyraźniej, cięto, teraz od strony Czudca. — O to nie zające, to sarny, napewno sarny. Idą daleko przed psami. Podbiec? Na przełęcz ku górze? Nie, czekajmy aż się rzecz „wyklaruje". Ręka ujęła silniej kolbę, serce zaczyna łomotać. Byle na mnie, byle na mnie podprowadziły poczciwe pieski, przecież one wiedzą, gdzie myśliwi stoją. Gon coraz, coraz bliższy — znów się oddala — przepadł gdzieś za górą w jarze ku Baryczce. Teraz odzywa się z lewej strony, zabrzmiał głośniej, znowu ucichł... Kochane pieski — ślicznie trzymają.... Teraz to już napewno sarny... tylko cicho, tylko spokojnie, muszą je tu pode mnie doprowadzić. Lada chwila muszą wyjść.

Nagle od potoka przecina powietrze cienki jazgot Śpiewki, po niej huknął Zagraj i — oba ucięły. Zgubiły ślad? E, nie! To sarny się odsadziły tylko, ale nie na długo. Widocznie psy okładają bagienko pod zrębem. — Ostrożnie wychylam głowę i patrzę między zeschłe listowie iwiny.

Co to? Na samym dole zrębu, poza rdzawemi krzakami, pokazał się na śniegu mały


Wyjechaliśmy do lasu konno.

czarny punkt, po nim drugi, trzeci, czwarty... To sarny. Stanęły, rozglądnęły się dookoła, wietrząc i ruszając łyżkami. Wyskoczyły na zrąb. Śliczne, czarne na śnieżnej bieli. Widzę je doskonale.

Nagle gon. To psy odnalazły znów trop. Zajęczał przeraźliwy głos Śpiewki gdzieś daleko wdole...

Sarny skupiły się w sobie do skoku i zaczęły sadzić wgórę po zrębie, przeskakując przeszkody susami. Idą lewą stroną zrębu. Muszą przejść tuż koło mnie. Ścisnąłem broń w ręku. Strzelić? E mam czas, idą jak ruchoma tarcza, choćbym nie chciał to i tak muszę trafić. Taki łatwy strzał, niepodobna chybić.

Pierwsza szła siuta, jak zwykle, za nią kozioł, a za nim znów koza z małem. Widok przecudowny. Choć rzecz rozegrała się w kilku zaledwie minutach, mam czas na refleksje.

Szesnaście nóg-badyli topocze o ziemię mimo warstwy śniegu, a ściana lasu, bramująca zrąb oddaje tentent. Podświadomie wali mi w mózgu echo z dawnych lat, onomatopeja Wergilego:

Quadrupedante putrem tonitu qualit ungula campum...

Jeszcze kilka ułamków sekundy a rogacz znajduje się na linji strzału... Już jest! Lekko, z całą świadomością, że on już mój i nic go nie może uratować przed moją celną kulą, przyrzucam broń do ramienia i bah! pada


Chadzali z takiemi „pompówkami" na dziki i niedźwiedzie...

strzał a równocześnie z nim kozioł wali się z dymem w śnieżną zaspę!!!

Pierwszy rogacz!! I to strzelony kulą, nie jakąś tam śruciną!! Pierwszy rogacz, co za radość! Ekstaza! Mam ochotę krzyczeć o moim triumfie, skakać, tańczyć, wołać na cały świat!!! Rogacz leży w zaspie, leży naprawdę, niezaprzeczenie leży.

Psy teraz nadbiegły za tropem na strzał, zaczęły lizać farbę i dobierać mu się do gardła. Odpędziłem je i przywlokłem rogacza ku mojemu stanowisku, zgrzany i spocony więcej ze wzruszenia, niż z wysiłku fizycznego. Ale jakże szczęśliwy i dumny! Mój pierwszy rogacz i to strzelony kulą, po rycersku!! Któż z myśliwych tego nie pamięta!!!

Wuj, który stał nade mną o jakie sto pięćdziesiąt kroków, zeszedł ku mnie z jakimś dziwnym uśmiechem na twarzy.

— Alem ładnie strzelił? Co? — odezwałem się do niego.

— Acha! Właśnie — odpowiedział — *Podsypał, nie nabił — wystrzelił, nie zabił.*. Spudłowałeś, kochasiu, jak Bóg przykazał!!!

Jakby we mnie piorun strzelił.

— Co? — oburzyłem się. — Ja spudłowałem?! A to, co tu leży? Zrulował przecież z dymem!...

— A tak, kochasiu, spudłowałeś! Widziałem z góry, żeś zdołował. Kula poszła w pień...

— A rogacz pewnie sam się zabił? Samobójca? Co?

— A żebyś wiedział, że sam. Zresztą patrz!

Dźwignął łeb rogacza do góry — i cóż się pokazało? W piersiach kozła tkwiła drzazga długa. Kuli ani śladu. Rogacz, skacząc (przez zaspę), nadział się na ukrytą pod śniegiem drzazgę, sterczącą z pnia ściętego drzewa, przysypaną śniegiem. Drzazga doszła do komory i ułamana tkwiła w piersiach, jakby na moje urągowisko!

Pociemniało mi w oczach. Łzy popłynęły po policzkach, a świat stracił cały urok.

Tak, tak. To była drzazga, nie kula! Trzeba było staranniej mierzyć, choć strzał był łatwy. W myślistwie nie wolno niczego lekceważyć! Mój pierwszy rogacz padł bez mego udziału. Niestety! Smutna prawda! Miał rację wuj:

...podsypał, nie nabił,
wystrzelił, nie zabił!...

Ale wiecie łaskawi państwo, co jest najoryginalniejsze w tej całej historji?

To, że to nie jest wcale żadna blaga myśliwska, lecz najszczersza prawda... mógłbym nawet dać na to słowo honoru...!

W · KRAJU · BARW

i czardasza

Już dawno przed wojną światową liczni uczeni zajęli się „odgrzebywaniem“ zabytków ludowych, a artyści, korzystając z tego, zużytkowali je we wszelkich gałęziach sztuki, jako „odżywkę“ sztuki nowoczesnej. Zainteresowano się oczywiście kostjumami ludowemi, które poczęły zanikać w wielu krajach. Nie będziemy mówili tutaj o Polsce, której folklor jest ogólnie znany, lecz o krajach, z któremi tylko pośrednio się stykamy.

Oczywiście, że w każdym nieomal kraju do dziś dnia dochowały się stroje narodowe, w większości jednak wypadków stają się one jedynie strojem odświętnym, nieraz niechętnie wkładanym przez ludność wiejską. Poza Polską jedynie jeszcze Anglja, a w pierwszym rzędzie Szkocja jakoteż Węgry i Niemcy dochowali do dziś dnia swoje piękne stroje narodowe. Ciekawą jest rzeczą, że nawet dawni emigranci niemieccy, zamieszkali bądź w Siedmiogrodzie, bądź też w innych krajach, do dziś dnia zachowali swoje stroje, chociaż otoczeni są nieraz obcemi narodowościowo elementami. Nie od rzeczy będzie wspomnieć t. zw. „bamberki“„ zamieszkujące Wielkopolskę, które również, występując przy uroczystych okazjach, wkładają stroje sprzed kilkuset lat.

Mówiąc o strojach narodowych, jednym z najciekawszych momentów tej dziedziny jest bezsprzecznie okoliczność, iż nawet tam, gdzie się one dochowały, odnoszą się one jedynie do ludności wiejskiej, nigdy zaś do sfer wyższych. Jeżeli cały elegancki świat w XVIII wieku nosił francuski frak z żabotem i koronkami, wyrzekając się swoich dotychczasowych strojów, to tosamo zjawisko można zauważyć i w czasach późniejszych, kiedy to sfery wyższe, czyli te, które nazywamy inteligencją, przywdziewały mało charakterystyczne szare ubrania burżuazyjne. Ten stan rzeczy przetrwał do dziś dnia, a wspomniane warstwy społeczne za strój świąteczny uważają frak lub smoking. Wyrugowanie z życia bieżącego tych tak ciekawych i barwnych strojów narodowych ma pod względem charakterystyki narodowej i barwności bezwzględnie ujemne znaczenie. Decydującym tu momentem są bądź względy praktyczne, bądź też poprostu wrodzony człowiekowi dar imitacji.

W całej Europie istnieją obecnie jedynie dwa kraje, w których dawne stroje narodowe noszone są również przez inteligencję wszelkich odcieni i gatunków, a są nimi Anglja i Węgry. Dziwnym zbiegiem okoliczności te dwa od najdawniejszych czasów tradycjami demokratycznemi żyjące narody, wykazują największe przywiązanie do przeszłości. Ileż razy można na licznych ilustracjach pism angielskich obserwować Anglików wszelkich sfer, a zwłaszcza ziemiańskich, ubranych w charakterystyczne tartany szkockie, noszących skórzaną torbę z lisim ogonem i nakrywających głowę szkocką pasiastą czapeczką! To samo, a może nawet w wyższej mierze, możemy powiedzieć o Węgrach, którzy nie omijają żadnej okazji, aby przywdziać piękne węgierskie kontusze, tak bardzo przypominające dawny strój polski.

Oto jak ubierają się pasterze z komitatu Szolnok.

Istotnie tradycja strojów ubiegłych czasów rzuca się tam przy każdej okazji żywo w oczy. Gdy w dniu św. Stefana cały naród węgierski skupia się dookoła relikwjarza wielkiego świętego i króla, a na czele pochodu kroczy regent królestwa, mimowoli oko widza spoczywa na wysoce barwnych strojach gwardji przybocznej, noszącej oryginalne szyszaki z pióropuszem. Hełmy te są zabytkiem nadwyraz starożytnym, sięgają bowiem czasów, kiedy Madiarowie zdobyli nizinę Panońską, zakładając podwaliny pod późniejsze państwo węgierskie. Dla kostjumologa podobieństwo tych hełmów z hełmami noszonemi przez gwardję przyboczną wielkich książąt moskiewskich, zwanych „strielki“ (strzelcami) jest uderzająca. Znajdujemy tu i tam tę samą strzelistość, a wypada również przypomnieć, że régime sowiecki tworząc nowe umundurowanie dla swej armji, do tych prawzorów hełmu powrócił Dzisiejsze nakrycie głowy żołnierzy zbliżone jest też do tego prototypu.

Jakkolwiek strój jest oczywiście rzeczą wysoce zewnętrzną, to jednak i w nim odbija się psychologja narodu oraz głębsze czynniki charakteru. Zupełnie słusznym jest punkt widzenia, ustalony na te sprawy na Węgrzech, uważający swój strój narodowy za równie uroczysty jak banalny i mało charakterystyczny frak lub smoking. U nas niestety, bądź to spoodu kryzysu, bądź też przemian psychologicznych, staropolski kontusz przeniósł się z potocznego życia do muzeum. Jest to bezwątpienia duża strata i pozbawia nas jednej z najciekawszych, bo najłatwiejszej do uchwycenia cech narodowych.

Zarówno stroje ludowe, jak też i węgierskie kontusze cieszą się do dziś dnia nieustającą popularnością, a wraz ze wspaniałemi mundurami węgierskiej gwardji dają one przybyszowi tak barwny i ciekawy widok, jakiego może nigdzie indziej nie można zobaczyć. Strój jest bezwątpienia również uzewnętrznieniem cech charakterystycznych narodu, to też rycerski, lecz również zawadjacki charakter narodu węgierskiego ujawnia się w tych wszystkich kontuszach, w mundurach gwardji, jak również w barwnych sukmanach chłopów węgierskich. Odbija się w nich też historja tego narodu, pełna egzotyzmu, podobnie jak i nasza. Tak więc stroje te na Węgrzech głoszą, że dawny charakter tego narodu nie zaginął, uległ jedynie pewnym koniecznym zmianom.

Jan Godziemba.



Zmiana warty gwardji ubranej w historyczne stroje na królewskim zamku w Budapeszcie.



W dniu św. Stefana dygnitarze węgierscy występują w uroczystych kontuszach, spiętych drogocennemi klamrami.



Nadwyraz efektownie przedstawiają się stroje wieśniaczek z okolicy Mezökövesd, zwracając uwagę barwnemi fartuszkami i chustkami na głowie.

Zgodnie ze starą tradycją od dnia św. Marcina gęś staje się aktualnością w gospodarstwie domowem krajów Europy.

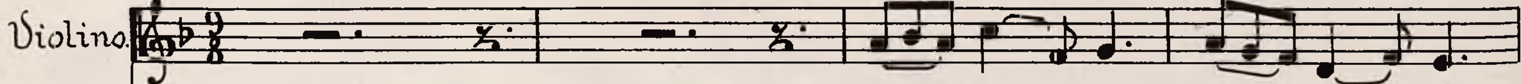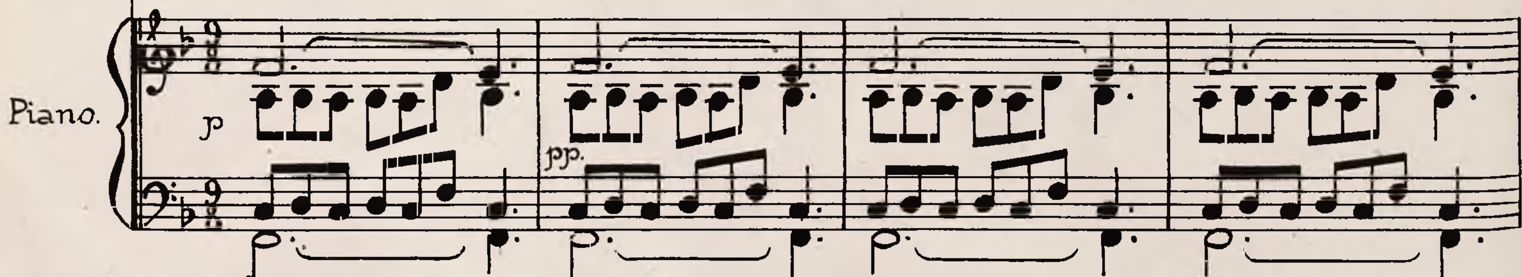




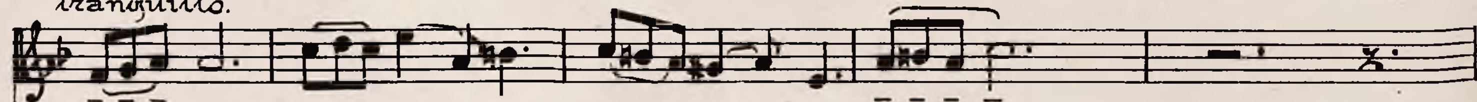
Z·TEKI·MUZYCZNEJ·„ASA"
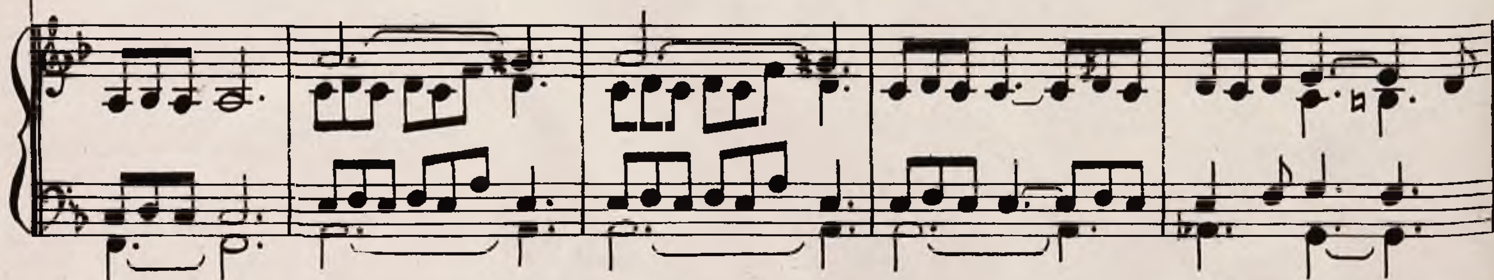
KOŁYSANKA

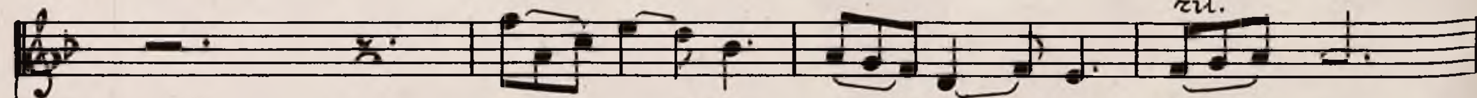
MUZYKA·FELIKSA·HALPERNA
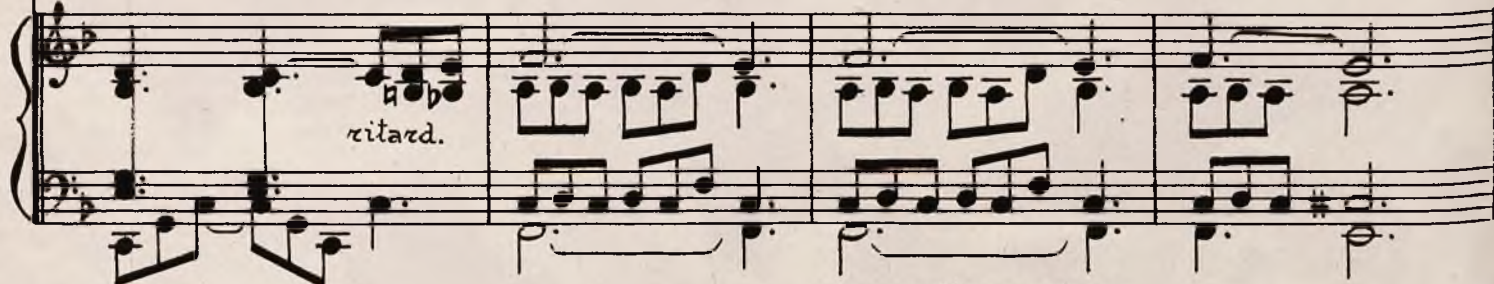


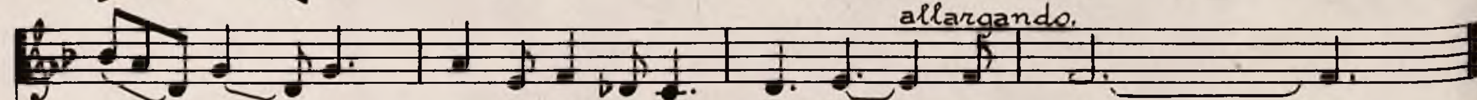


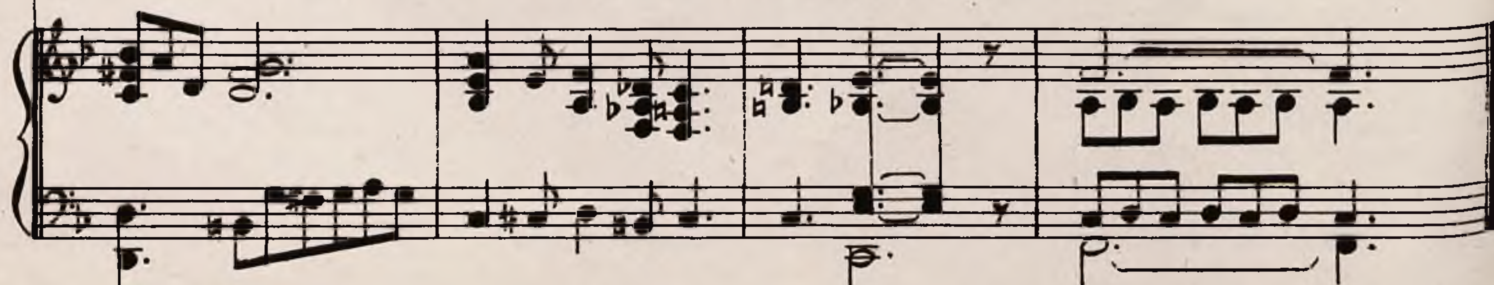












Dzieci szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

12-ty ODCINEK.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA.

— Jakoś się to zrobi — zakonkludował, wzruszając ramionami Le Droz.— Ale najpierw trzeba nam uwolnić Robertę i tę Węgierkę z mocy panów szoferów.

I pokazało się, że dziennikarz miał rację, iż nie przestawał ufać szczęściu. Kiedy trzech młodych ludzi ukazało się w szynku, pani Hervezy odezwała się stanowczym tonem:

— Musicie państwo dać mi ten dowód przyjaźni i przyjąć ode mnie kieliszek szampana. Gdyby mój mąż nie był zajęty dziś wieczór i gdybyśmy nie wyjeżdżali jutro świtem z Paryża — z całą pewnością poprosiłby panów o tę łaskę. Nie darowałby mi, gdybym w jego imieniu nie ugościła moich wybawców i sympatycznych ich przyjaciół.

— Niestety, mogę zabrać tylko dwie osoby do mojego wozu — oświadczył Vivant, godząc się z całą prostotą na propozycję Węgierki.

— Tem lepiej dla mnie! — wmieszał się szofer z podbitem okiem, z czołem znaczonem guzami. — Moja taksówka coś zarobi...

Jasarte wsiadł więc do auta z Vivantem; Helma Hervezy, Roberta i dziennikarz zajęli miejsca w taksówce. Auta potoczyły się w kierunku Montparnasu. W drodze Roberta zawołała nagle:

— Wiesz, Le Droz, co za traf! Mąż pani Hervezy —

— Nie „pani Hervezy“ — ale Helmy — poprawiła z naciskiem Węgierka.

— Mąż Helmy więc, je obiad z tym byłym ministrem, którego pokazałeś mi w restauracji na rue Royale i który ma taką nadzwyczajną głowę.

—W takim razie — podjął Le Droz, nagle bardzo zainteresowany — mąż pani, to baron Hervezy — ten finansista? Znam go z fotografji. Wysoki — trochę ma wygląd wojskowy — prawda proszę pani? — Obiaduje więc dziś z byłym ministrem Plessoye?

— Tak. — Ach, te ich wieczyste nudne interesy! — Jedzą dziś obiad w tej ponurej norze, u Lentonina. I pomyśleć, że jesteśmy w Paryżu — a oni ledwie zabierają się w tej chwili do czarnej kawy!

— To prawda — szepnął Le Droz. — Zaledwie jest dziesiąta...

I nie odezwał się już ani słowem przez całą drogę. Dopiero kiedy zajechali, oświadczył krótko:

— Panie darują — mam jeszcze robotę dziś. — Pożegnam więc panie, ale nie na długo. — Wrócę tu niebawem.

I wsiadł spowrotem do taksówki. Mógł być pewnym, że szofer nie odmówi mu kredytu — rzucił więc cicho rozkaz:

— Do Lentonina — pełnym gazem!— Poczekasz na mnie przed wejściem.

IV.

Odległość z bulwaru Montparnasse na ulicę Vangirard nie jest wielką, taksówka zaś pędziła, jakby brała udział w wyścigu. Jednakowoż ile pomysłów— kombinacji — projektów — ileż marzeń zdołało się w tym krótkim czasie zrodzić w rozgorączkowanym umyśle Le Droza! Dla tego, kto znał podstawowe idee polityki byłego ministra i upór, z jakim dążył do ich urzeczywistnienia — zetknięcie Hervezy‘ego z Plessoye było faktem kapitalnym i niebywale znamiennym.

Plessoye był zawsze zdania, że spośród krajów naddunajskich Węgry stanowiły najpodatniejszy grunt dla wpływów francuskich. Francji więc należało ośrodek ten otoczyć opieką, przyjść mu z pomocą i pociągnąć go do siebie. Nie oglądając się na przesądy partyjne, Plessoye, członek lewicy, stawał w obronie Węgier o feodalnym ustroju i domagał się uchwalenia dla nich znacznej pożyczki.

— No, i udało mu się ściągnąć Hervezy‘ego do Paryża! — Myślał Le Droz. Hervezy‘ego, który przecież zdecydowanie grawituje ku Niemcom! — A więc kombinacja francuska musiała zostać zaakceptowana nad Dunajem. — Ale tu? — Jakże z tem będzie tutaj? — Muszę, muszę dowiedzieć się, co oni tam mówią!

Owo spotkanie barona Hervezy‘ego z Plessoye trzymane było w ścisłej tajemnicy. Żaden komunikat prasowy nie donosił o przybyciu do Paryża węgierskiego gościa — chociaż gość ten dzierżył tekę ministra skarbu Węgier już w trzech gabinetach i był stałym ich delegatem na wszystkie konferencje międzynarodowe.

— Tożby to był wyczyn dziennikarski dopiero! — myślał dalej. — Ale nie uda mi się. — Żadnego atuta nie mam do wyświęcenia. Nic, tylko tę wiadomość, otrzymaną dzięki przypadkowi...

Lecz na to, najpotężniejszy z demonów. władających nim, odpowiedział — i zadecydował za niego:

— Niech się co chce dzieje! — Dziś jest wielki dzień! — Nie mówi się „pass“ z taką kartą!

I Le Droz wyskoczył z taksówki, zdecydowany na wszystko.

* * *

— Proszę mnie prędko oczyścić — i zaprowadzić do salonu, zajętego przez barona Hervezy — rzucił pierwszemu z brzegu lokajowi.

Kiedy znaleźli się przed drzwiami gabinetu, rzekł:

— Proszę dać znać baronowi, muszę z nim pomówić.

Za chwilę ukazała się we drzwiach wysoka, dumna postać Hervezy‘ego. Serce Le Droza poczęło bić w dosyć przyspieszonem tempie. Wzruszenie to jednakże nie wpłynęło niczem na swobodę, z jaką skłamał:

— Spóźniłem się może nieco na kawę. — Proszę mi darować. Ale pan Plessoye polecił mi nie pokazywać się przed 10-tą. Jestem Jacques Le Droz z Petit Français.

— Doskonale. — W samą porę pan przybywa. — Właśnie zabieraliśmy się do cygar. — Witam pana.

I jak to słusznie przewidywał Le Droz, baron usunął się, by przepuścić go do środka. W ten sposób mógł dotrzeć wprost, niezaanonsowany do byłego ministra francuskiego. Lecz znalazłszy się w gabinecie, młody dziennikarz poczuł, że kolana jego owładnęło jakieś dziwne osłabienie...

W gabinecie tym znajdowało się kilkunastu panów, podzielonych na grupki. Le Droz rozpoznał wśród nich natychmiast jednego z członków rządu, uważanego za niechybnego następcę obecnego prezydenta ministrów, (którego w tej chwili pan ów zdradzał haniebnie!) — dalej redaktorów trzech największych dzienników paryskich — dalej referenta komisji skarbowej senatu — dalej pewnego potężnego bankiera paryskiego. Wszyscy ci panowie byli we frakach.

— Co za szczęście, że Vivant kazał mi się ubrać dzisiaj we frak! — pomyślał z przytomnością i jasnością umysłu, jaka bywa czasem udziałem ludzi w malignie.

I ten szczęśliwy zbieg okoliczności wystarczył, by dodać ostrogi wrodzonej jego żyłce gracza-ryzykanta i pozwolić mu skierować się prosto do Plessoye, próbującego w tej chwili uroków i czarów swych zdradnych ust na osobie senatora. Po chwili, ku swemu zdumieniu, usłyszał własny swój głos, jak oświadczył z mocą:

— Panie ministrze, jestem z redakcji Petit Français. Baron Hervezy poradził mi, żebym przyszedł tu, pod koniec obiadu.

— Czy zna go pan bliżej? — zapytał Plessoye.

Le Droz musiał zebrać całą swą od-



Zabrał się z miejsca do roboty...

wagę, by wytrzymać utkwione w siebie spojrzenie niesamowitych, świetlistych źrenic byłego ministra. Migotały w nich błyski, ostre jak strzały — a jednocześnie drzemało w nich przyczajone marzenie.

— Należę do dosyć bliskich znajomych pani Hervezy — odrzekł.

Plessoye zaś wnioskował w duchu: „Baron zapłacił temu młodemu człowiekowi i kazał mu przyjść tutaj, żeby mi pokazać, iż ma na swoje rozkazy pewien odłam paryskiej prasy. To całkiem podobne do niego..."

I tonem lekko wzgardliwym odezwał się:

— W takim razie, wie pan, co pan ma robić. — Ale uprzedzam: nie drukować nic bez mego pozwolenia — i tylko, trzymając się ściśle moich wskazówek. Poza tem, może pan sobie słuchać.

Co powiedziawszy, oddalił się, unosząc przelotne uczucie niesmaku i żalu, że oto chłopak, tak młody jeszcze — i, zdawałoby się, o tak jasnem i czystem czole — był już do kupienia na publicznej targowicy życia...

* * *

Kwadrans czasu wystarczył Le Drozowi, by zmierzyć na jak ogromną niedyskrecję się poważył. Prawie że przeraziło go to, co usłyszał. Zrozumiał bowiem, że oto w jego oczach, między Hervezy'm, a francuskimi politykami, finansistami, właścicielami wielkich dzienników, rodził się pakt tajemny. Uchwalenie pożyczki węgierskiej było rzeczą przesądzoną. Dyskutowano jeszcze tylko nad poszczególnemi zyskami, mającemi przypaść w udziale tym z obecnych, dla których ta gałąź polityki europejskiej miała znaczenie li tylko dobrego interesu.

Kiedy zdał sobie w pełni sprawę z doniosłości odkrycia, które uczynił, Le Droz skierował się, jak błędny, ku drzwiom. Wyszedł, nie pożegnawszy się z nikim. Podświadomie uniósł odbity na swych źrenicach obraz Plessoye, jak niezmordowanie, niby w jakimś wizjonerskim transie, — snuje się od jednej grupy zgromadzonych panów do drugiej, tkając wokół nich misterną sieć namiętnych, przekonywujących słów.

— Co za awantura! Co za kawał! — wyrzekł na głos, znalazłszy się znowu w taksówce, która unosiła go teraz do redakcji. — I co za burza rozpęta się jutro.

Ani przez chwilę nie postało mu w myśli, że obowiązkiem jego było wymazać z pamięci to, co udało mu się podchwycić przypadkiem — że dzięki tylko nieostrożnej, babskiej paplaninie, wślizgnął się jak włamywacz na poufne zebranie poważnych mężów. — Dla niego istniało w tej chwili tylko jedno: — rzemiosło dziennikarza. Istotą zaś tego rzemiosła było: — wiedzieć o wszystkiem — i o wszystkiem mówić. I ten krzyk triumfu, który wołał w nim:

— Widzisz: nie mówi się „pass", kiedy ci danem jest zasiąść przy zielonym stole szczęścia!

Biło więc wpół do jedenastej, kiedy stanął przed sekretarzem generalnym redakcji Petit Français i pytał gorączkowo:

— Gdzie jest dyrektor? — Muszę natychmiast widzieć się z dyrektorem!

Dyrektor Vordeau, właściciel i naczelny redaktor Petit Français, był z natury człowiekiem ostrożnym i bardzo zręcznym. Lecz wystarczało już samo podejrzenie, iż ktoś śmie wątpić o jego władzy i potędze, by stracił zupełnie panowanie nad sobą. Kiedy więc Le Droz zdyszany opowiadał mu o rezultacie swej wyprawy, fioletowe cienie poczęły przebiegać po typowo apoplektycznem obliczu dyrektora Vordeau.

— Wykluczyli mnie! — wybuchnął — Dobrze! — Jazda więc, na całego, mój mały! Wal wszystkie nazwiska — wszystkie ich sztuczki kombinatorskie i matactwa!

Le Droz nie miał zamiaru posuwać się aż tak daleko. Lecz wypadki, które rozpętał, zaczynały go przerastać i, tocząc się, jakby po równi pochyłej, pociągały go teraz za sobą siłą rozpędu.

Zabrał się z miejsca do roboty i dał się jej pochłonąć cały. Nerwy jego, podcięte wstrząśnieniem, jakiego doznał — jego wrażliwość, żywa i gorąca, wprawiły go w rodzaj halucynacji, przy której zachował jednak całą jasność myśli. Wizerunki ludzi pod jego piórem nabierały konturów i ciepła istot żyjących — dialogi, pełne napięcia, tchnęły prawdą — jakby się je słyszało. Opowiedział ze szczegółami o kroku samozwańczym, na jaki się ważył — wskrzesił z niesłychaną wiernością rysy Plessoye — odmalował dumną wyniosłość barona Hervezy — bezinteresowność jednych członków poufnego zebrania — zachłanną chciwość drugich. Pisał jednym tchem — bez poprawek. W ciągu czterdziestu minut wygotował najlepszy artykuł, jaki kiedykolwiek spłodził w życiu.

W miarę jak pisał, porywano mu z pod ręki zaczernione pismem kartki, by ponieść je natychmiast na maszynę. Ledwie ostatnią wypuścił z rąk — a już Vordeau odczytywał, wilgotne jeszcze, pierwsze arkusze korekty.

— Ma pan tu trzy tysiące franków gratyfikacji — rzekł do Le Droza. — Nie mam więcej przy sobie. — A tu, ma pan jeszcze bon na pięć tysięcy do kasy.

* * *

— Roberto, nie pojedziesz już w Vogesy! — Ramonie, nie wracasz jutro do Barcelony! — Vivant, mamy za co pić tej nocy!

I z tym okrzykiem Le Droz rzucił na stół kawiarniany trzy tysiącfrankowe banknoty.

— Zgwałciłem szczęście! — wyrzekł, jakby rzucał wyzwanie światu całemu.

— Ja także — zawołała śmiejąc się Roberta. — Wiesz, Helma Hervezy —

— Ale gdzież ona się podziała? — przerwał jej Le Droz.

— Nie mogła czekać na ciebie — o jedenastej miała się spotkać z mężem.

— To lepiej nawet...

— A więc, Helma, która zapałała przyjaźnią do mnie — mam to oczywiście do zawdzięczenia tobie! — oświadczyła gotowość założenia firmy dekoracji wnętrz, którą ja mam kierować.

— Zaręczam ci, że jutro zmieni o mnie zdanie...

— Dlaczego? — Ona —

— Akurat o nią tu chodzi!

I Le Droz rozpromieniony, pełen jeszcze podniecenia, opowiedział przyjaciołom swoją przygodę.

— Nie rozumiem się wprawdzie zgoła na polityce, ale wydaje mi się, że jest to doskonale udany kawał — rzekł Jasarte.

— Będziesz sławnym jutro! — zawołała Roberta.

— A jakich sobie nieprzyjaciół narobisz! — krzyczał Vivant. — To cudowne — cudowne!

— Zaszachuje się ich! — rzucił beztrosko Le Droz.

Jednakże przed oczyma zamajaczyło mu nieprzyjemnie pewne oblicze, o ustach, mających magnetyczny urok — o nieco trójkątnym zarysie czoła... W tej samej chwili Roberta zapytała:

— Ale Plessoye? — Tak ci zależało na jego opinji... — Chciałeś mu oddać usługę...

— On to zrozumie... A jeśli nie zrozumie, to dowód, że nie jest tym, za którego go miałem — i przestanie mnie zajmować.

* * *

Aż do białego rana włóczyli się z baru do baru, po całym Montmartrze. Chcieli uczcić godnie szczęśliwy traf, który pozwolił im znaleźć się znowu we czwórkę i sukcesy, jakie im ta noc przyniosła. A wszędzie, jak cień dążył za nimi ze swą taksówką szofer, o minie zakazanej i podbitem na czarno oku. W miarę, jak upływały godziny, oko szofera puchło i czerniało coraz okazalej — oni zaś, traktowali go coraz bardziej po przyjacielsku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ELNA GISTEDT mówi:
„Najdramatyczniejszy moment w mem życiu"

Któż, jeżeli nie artystka sceniczna może powiedzieć coś ciekawego o najdramatyczniejszym momencie w swojem życiu, ona, która siłą rzeczy, pędzi nerwowe, pełne licznych epizodów życie?

Mając w zanadrzu pytania konkursowe „Asa" zgłaszam się do znanej artystki teatrów warszawskich, p. Elny Gistedt, która, jakkolwiek córka północnych fjordów, znana jest bywalcom teatrów warszawskich z wielkiego temperamentu, żywości i artystycznej ekspresji.

— Najtragiczniejszy moment w mojem życiu? — znana artystka uśmiecha się, jakby szukając epizodu, któremuby mogła nadać to poważne określenie.

— A więc tak, opowiem panu pewne zdarzenie, które rzeczywiście wytrąciło mnie z równowagi, a pomimo, iż jestem dosyć poradna i energiczna, nie wiedziałam naprawdę co zrobić. Było to w epoce, kiedy jako piętnastoletnia aktoreczka debiutowałam w „Copperfieldzie" Dickensa na scenie królewskiego teatru w Sztokholmie. Kilka przedstawień i bardzo przyjemna ocena prasy zdobyły mi dobrą opinję stolicy, a dumę narodową podsycała świadomość, że nawet otoczony ojcowskim sentymentem przez cały naród, król Gustaw, oklaskiwał mnie w swojej loży. Codziennie idąc też na

Poniżej: Znana artystka przesyła Czytelnikom „Asa" miły uśmiech.



Elna Gistedt w stylowym kostjumie w jednej ze swych artystycznych kreacyj.

próby do teatru, specjanie szłam drogą dłuższą, będąc pewną że król, świadom tego, staje w oknie swego apartamentu i przygląda się młodej a posiadającej już rozgłos artystce. Co dnia też pilnie patrzyłam w okna zamku, czy w którymś z nich nie zobaczę króla... Rzecz oczywista że idąc na tę „królewską paradę" ubierałam się zawsze bardzo starannie, by spodobać się ojcu narodu. Owego tragicznego dnia ubrałam się w nową sukienkę i haleczkę. Idę dumna przez most, nie zważając, że od dłuższego czasu postępuje za mną dwu młodych, w złotych galonach kadetów, starających się jakgdyby nawiązać ze mną rozmowę. Wchodzę na most, kadeci za mną, spoglądam w okna zamku i o dziwo! Zdało mi się, że w jednym z nich ujrzałam wysmukłą postać króla. Kadeci mnie już nie obchodzą, idę wpatrzona w zamek dalej, a wtem... w tem... nastąpiła tragedja.

Coś tam w sukience się obluzowało i nowa halka w obliczu Majestatu i dwu młodych kadetów osunęła się na ziemię... Wstyd i sromota!

Jednym ruchem nogi strącam z siebie kompromitującą garderobę i idę do teatru nie oglądając się za siebie..

Po przedstawieniu dnia tegoż otrzymałam wielki kosz kwiatów a wśród nich moją niesforną halkę. Na widowni ujrzałam dwu „złocistych" kadetów, ofiarodawców prezentu.

Szczery uśmiech rozjaśnia oblicze sympatycznej artystki. Drobny epizod, wywołany w jej pamięci wspomnieniem przeszłości, nie był zapewne tak przykry, choć pani Gistedt nazwała go najdramatyczniejszym w jej życiu. Przecież wszystko to, co przeszło, po wielu latach, nabiera charakteru miłego wspomnienia!

J. Del.

Jeżeli mamy w życiu stosować także czy inne przepisy i wskazówki, musimy przedewszystkiem wiedzieć dla czego i znać podstawy, na których zostały stworzone. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do różnych wskazówek prak-

Amerykańskie artystki filmowe dbałe o swój wygląd, używają nieraz „kąpieli słonecznych" we własnym domu. — Oto Leila Hyams wygrzewająca się przed aparatem słonecznym.



kobiecie narastający ciągle tłuszcz, z którym niewiadomo, jak się uporać. Jednym ze sposobów, stosowanym przez nasze panie, jest noszenie pasa, którego nie zdejmują w większości wypadków przez cały dzień, a co najwyżej podczas drzemki poobiedniej. Inaczej postępuje w tym wypadku Francuzka, uważa bowiem, zresztą zupełnie słusznie, że właśnie podczas snu przybywa ciału najwięcej tłuszczu. Dlatego też chcąc przechytrzeć prawa natury, nakłada ona gumowy pas właśnie na czas snu poobiedniego, a podczas dnia będąc w ruchu zastępuje go atłasową opaską, spiętą z podwiązką. Perfumy o tyle tylko są miłe i odnoszą pożądany skutek, o ile stosowane są z umiarem i we właściwy sposób. Wiadomo, że najlepsze nawet perfumy zostawiają ślady na jedwabiu i wełnianej materji. Dlatego perfumować się powinno rozpylaczem lub przez ruchomy korek — trochę za uszami, trochę wcierając we włosy, następnie w podszewkę względnie w spód kołnierzyka, klap, mankiecików i sukni. Znaną jest rzeczą, że tiul najlepiej utrzymuje zapach perfum: można nakrapiać tiul wzdłuż ściegów, a woń utrzyma się długo.

Tak jak przychodzi moda na wszystko inne, tak też pewne części ciała kobiecego doczekały się mniejszej lub większej „popularności". Każda epoka ludzka faworyzowała inną część ciała kobiecego. Starożytna Grecja uprawiała kult i harmonję całego ciała. Młodzież gimnastykowała się nago (gymnos — nagi). W epoce rokoko modny był dekolltaż ramion i piersi. W epoce krynoliny natomiast osłaniano nawet szyję zdobnymi kołnierzykami, ale też i miednice do mycia były wówczas wprost mikroskopijnych rozmiarów. Wiek XIX odsłonił znowu skromny dekolt i pozwolił na krótkie rękawki. Dopiero wiek XX rozpisał konkursy piękności nóg, pleców a nawet odnowił na swój sposób kult ciała starożytnej Grecji: w pląsających wiotkich girlsach i syrenach kąpielowych! Kobieta ma teraz sporo zachodu i pracy nad pielęgnacją ciała, jeśli chce zadowolić modę i podobać się mężczyźnie.

Największą sztuką życiową jest niestosowanie trudnych i kosztownych środków celem utrzymania zdrowia i urody, ale wyciągania z drobnych codziennych okazyj maksimum pożytku. Można śmiało powiedzieć, że właśnie XX-wiek doszedł w tym kierunku do wielkich rezultatów, gdyż udostępnił prostą i zasadniczą higjenę najszerszym warstwom, kładąc podwaliny pod ogólne zdrowie społeczne. Ta „demokratyzacja hygjeny" czyni z człowieka współczesnego istotę pod pewnemi względami stojącą znacznie wyżej od poprzednich pokoleń, które dochodząc do 40 lat uważały się za podeszłe w wieku i walczyć musiały z licznemi chorobami. Starajmy się więc, abyśmy doszli do ogólnego poziomu, panującego w zakresie higjeny i zdrowia, który u nas pozostawia dużo do życzenia.

C.

CZY PANI O TEM WIE?

tycznych dla pięknej pani, mających na celu zachowanie jej zdrowia i urody.

Garbienie się jest bezwątpienia wielkim mankamentem u mężczyzny, a cóż dopiero u kobiety! Trzeba jednak powiedzieć, że ogólnie biorąc narody cywilizowane mniej stosunkowo na to zwracają uwagi, natomiast narody prymitywne, względnie stojące na niższym poziomie kultury, zazwyczaj odznaczają się piękną postawą.

Plemię Malajów znane jest z idealnej figury i pięknej postawy. Malajki jednak w pierwszym roku po urodzeniu dziecka prawie że nie noszą go na ręku, lecz trzymają je w pozycji leżącej na plecach, bez podkładek pod głowę. Dzięki temu dzieci odznaczają się pięknymi, silnymi i prostymi plecyma i kręgosłupem. U nas bierze się i nosi za często niemowlęta na rękach, nieraz w postawie zgiętej, pochyłonej, przez co postawa, swobodne oddechanie i wypoczynek narażone są na usterki. Wogóle i osobom dorosłym można zalecić sen i wypoczynek w pozycji możliwie poziomej, z podwyższeniem nieznacznem szyi i głowy.

Ileż to kłopotów przysparza niejednej



O ile kobieta umie zachować młodość i piękność, zwierciadło jest jej najlepszym przyjacielem



ZROBIĘ TO SAMA...

CZAPKA, RĘKAWICZKI I SZALIK DO NART



Kostjum narciarski z granatowej wełny zapinany na drewniane guziki. Czapeczka, szal i rękawice ręcznej roboty.

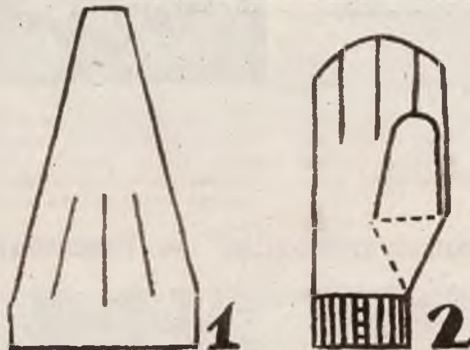
Komplet ten, o bardzo modnych linjach, nadaje się raczej jako strój, gdyż trudno byłoby uprawiać poważnie sport narciarski w ażurowych rękawicach. Niemniej jednak ma dużo wdzięku i każda Pani może go z łatwością wykonać a z wdziękiem nosić.

Materjał: wełna „Trójkąta w Kole", „Elektra" albo „Scotland" w kolorze jasno-czerwonym, około 25 dkg. Szydełko cienkie nr. 1.

Szalik szeroki na 30 a długi na 120 cm., zaczynamy od węższego brzegu, odpowiednią ilością oczek powietrznych (najlepiej zrobić próbkę podanym ściegiem i na jej podstawie obliczyć potrzebną ilość oczek). — Szydełkujemy ściegiem w muszki, wrabiając po jednej muszce co 3 słupki. Na muszkę nawijamy nitkę na szydełko, wkłuwamy w oczko, wyciągamy kluczkę i powtarzamy to 4 razy, poczem zbieramy naraz wszystkie znajdujące się na szydełku kluczki. W następnych rzędach przestawiamy stale muszki tak, że wypadają one na środkowem z 3-ch słupków dolnego rzędu.

Czapeczkę, której obwód na dole wynosi 50 cm, zaczynamy od dolnego brzegu i szydełkujemy w okrążeniach. Szydełkujemy naprzemian 1 niski słupek, 1 oczko powietrzne. Słupki wypadają stale na sobie. Od wysokości 4 cm, ujmujemy w 6-ciu równo rozdzielonych miejscach; ujmujemy co 4 rzędy. Od wysokości 12 cm ujmujemy tylko w dwu miejscach, leżących naprzeciw siebie, a to opuszczając oczko powietrzne pomiędzy 2-ma słupkami, co 3 rzędy tak długo, póki nie pozostaną nam tylko 4 słupki. Teraz wykonujemy długi na 18 cm chwast z podwójnie złożonych nici. Chwast ten przewiązujemy w odległości 5 cm od górnego brzegu i odrabiamy całą tę część rurką, wykonaną w okrążeniach półsłupkami, jak widać na rycinie.

Na rękawice wykonujemy najpierw mankiety. Zaczynamy je od górnego brzegu (obwód mankietu 30 cm) i szydełkujemy na łańcuszku z oczek powietrznych naprzemian 1 muszkę i 1 oczko powietrzne. W następnych rzędach wypadają muszki na oczkach powietrznych. Po ukończeniu mankietu wykonujemy osobno część środkową (ściągaczkę). Zaczynamy ją od wewnętrznej strony dłoni wzdłuż linji kropkowanej na schemacie i szydełkujemy w rzędach, idących tam i spowrotem, półsłupkami. Gdy wysokość ściągaczki równa jest obwodowi ręki w przegubie, łączymy koniec z początkiem i przyszywamy ściągaczkę do mankietu. Dłoń rękawicy dorabiamy wg. schematu



1). Schemat czapki, 2). Schemat dłoni rękawicy.

wprost do ściągaczki. Szydełkujemy w okrążeniach następującym ściegiem: naprzemian wrabiamy grupę z 3-ch półsłupków w jedno miejsce, poczem opuszczamy przestrzeń, odpowiadającą dwu oczkom. W następnych rzędach wrabiamy stale po jednej grupie w środkowy słupek dolnej grupy. Wzdłuż skośnych linij na schemacie dodajemy na klin wielkiego palca. Po dojściu do wysokości zaczęcia wielkiego palca, oddzielamy klin od reszty dłoni, dobieramy od strony dłoni 5 oczek powietrznych i wykonujemy wielki palec w okrążeniach półsłupkami, ujmując od strony dłoni. Po osiągnięciu odpowiedniej wysokości, ujmujemy w 4-ch równo rozdzielonych miejscach, a ostatnie oczka ściągamy i zeszywamy. Teraz wykonujemy dalej dłoń ściegiem poprzednim do wysokości pozostałych palców. Palce wykonujemy w okrążeniach, półsłupkami. Na każdy palec bierzemy mniej więcej po 1/8 ilości oczek od strony dłoni i wierzchu ręki, oraz po 3 nowe oczka od strony następnego i poprzedniego palca, na przestrzeni pomiędzy palcami. Na palce wskazujący i mały musimy wziąć nieco więcej oczek od strony dłoni i wierzchu ręki, ponieważ dobieramy do tych palców nowe oczka tylko z jednej strony. Zakończamy palce, jak wielki palec.

Ti.

Życie towarzyskie i artystyczne

Znany poeta lapoński.



Wśród małego narodu Lapończyków, nie posiadającego zupełnie analfabetów, wielką popularnością cieszy się znany poeta Johan Thuri, którego dzieła należą do popularnej lektury mieszkańców dalekich fiordów. Znany poeta jest miłośnikiem radja, wysoce rozpowszechnionego wśród Lapończyków.

40-lecie kinematografji.



Z okazji 40-lecia wynalezienia kinematografji odsłonięto w Berlinie tablicę pamiątkową poświęconą braciom Emilowi i Maksowi Skladanowskim, którzy pierwsi „nakręcali" naówczas filmy. Na zdjęciu bracia Skladanowscy oraz wiceprezes państwowego urzędu filmowego Hans Weidemann przed tablicą w gmachu Wintergartenu.

WYSTAWA ZNANEGO MALARZA.



W Pałacu Sztuk Pięknych w Krakowie zwracają na siebie uwagę prace Kazimierza Dzielińskiego, młodego krakowskiego artysty. Po dłuższych studjach w Paryżu, Kazimierz Dzieliński wykazał w swej sztuce wiele umiejętności w rozwiązywaniu malarskich problemów, zwłaszcza w zakresie portretów.

„Wiosenne porządki" w Poznaniu.



Teatr Polski w Poznaniu, który w ostatnich czasach wystawiał sztuki cieszące się wielkiem powodzeniem, ukazał ostatnio swej publiczności wysoce udaną lekką komedję L. F. Husleya p. t. „Wiosenne porządki", która również spotkała się z dobrem przyjęciem. Na zdjęciu artyści teatru p. Michalska i Tatarski w głównych rolach.

OBRAZY STAN. ŻUKOWSKIEGO.



W hotelu „Savoy" w Katowicach otwarto ostatnio ciekawą wystawę znanego malarza Stanisława Żukowskiego, który jest jedynym żyjącym polskim artystą, posiadającym honorowe członkostwo petersburskiej Akademji Sztuki. Pejzaże Żukowskiego odznaczają się świetną techniką malarską i głębokością sentymentu.

ZABAWKI

dla naszych pociech

Do zabawek tu opisanych potrzebne są nam: sztywny karton, dający się z łatwością ciąć nożyczkami, papier glansowany wiśniowy, granatowy, zielony i niebieski, klej, nożyczki, obcążki, miękki żelazny drut, 2 szpulki od nici jednakowej wielkości, biała farba wodna i pędzelek.

KOŃ NA KÓŁKACH.

Konia wytniemy z kartonu według rys. 1, nie uwzględniając grzywy, ogona i kapy; teraz wycinamy 2 szablony z papieru wiśniowego, które będą większe od konia z kartonu o grzywę i ogon. Szablonami temi oklejamy go z obu stron, sklejając na brzegach ogon i grzywę; kapę zrobimy z jednego kawałka papieru granatowego, który po złożeniu na pół będzie odpowiadał kapie na rys. 1; nacinamy końce kapy nakształt frendzli i oklejmy nią grzbiet koński. Następnie gęstą białą farbą malujemy szczegóły widoczne na tymże rysunku. Teraz wycinamy z kartonu podstawę, której połowę widzimy na rys. 2; boczne krawędzie zlepiamy paskami papieru, całość oklejamy papierem zielonym, a w linji środkowej wycinamy szczelinę (x), w której umocowana będzie tylna noga. Kółka robimy tak, że splatamy ze sobą na przestrzeni 10 cm. dwa kawałki drutu równej długości (około 35 cm.), a końce owalne ustawiamy równolegle (rys. 2), zawijając je raz dookoła szpulek i bacząc na to, by szpulki mogły się kręcić swobodnie, poczem przebijamy w dwóch miejscach tylny i przedni bok podstawy, wysuwamy przez te otwory wolne końce drutów, przycinamy ile trzeba i zaginamy.

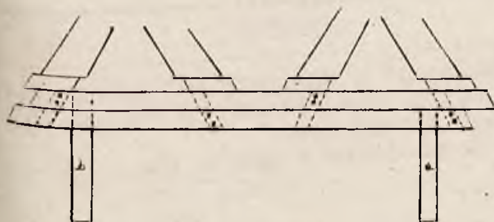
Konia umocujemy tak, że nogę tylną, która jest rozmyślnie zadługa, wsuwamy po kopyto do uprzednio wyciętej szczeliny (x), część wsuniętą rozczepiamy i przygięte rozczepione części przyklejamy do spodu podstawy.



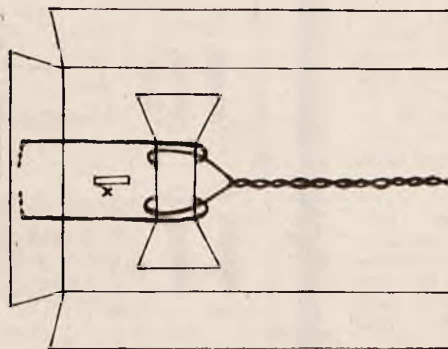
A oto dzielny marynarz, który zapomocą poruszania podstawki wykonuje ruchy gimnastyczne.



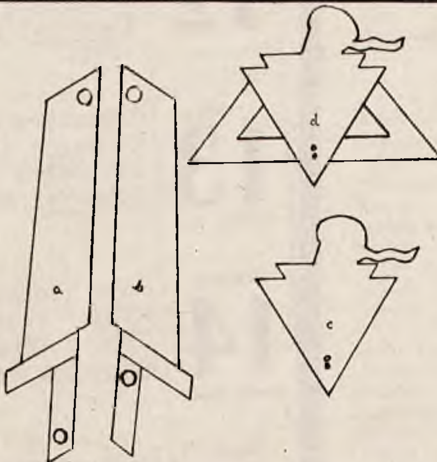
„Rys. I".



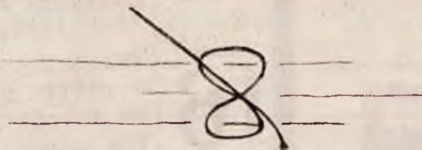
„Rys V".



„Rys II".



„Rys III".



„Rys IV".

TAŃCZĄCY MARYNARZE.

Na rys. 3 widzimy części, z których składa się główna część zabawki. Zaczniemy od wycięcia z kartonu samych marynarzy, a więc zrobimy dla każdego: spodnie z butami i szczudłami, tułów z głową i rękoma oraz tułów bez rąk; następnie oklejamy kawałki „a", „b" z obu stron błękitnym papierem i wszystkie cztery (a, b, c, d) zszywamy, przewierciwszy w nich uprzednio dziurki, zaznaczone na rys. 3. Ułożenie jest takie, że w środku leżą jeden na drugim kawałki „a", „b", dopasowane wylotami górnych dziurek, na wierzchu znajduje się kawałek „c", zaś pod spodem — „d"; zszywamy je w ósemkę, tj. tak, że wszystkie nitki krzyżują się w dziurce środkowej (rys. 4). Teraz wycinamy kawałki „c" i „d" z papieru błękitnego i oklejamy niemi górną część postaci, zlepiając również na brzegach kartony „c" i „d". Tak powstaną dwaj marynarze (naturalnie rys. 3 przedstawia schemat jednego z nich).

Podstawę robimy z 4 pasków kartonu szer. 1 cm i dług. 27 cm; składamy je po dwa i tak otrzymamy górną i dolną część mechanizmu ruchomego. Chcąc przymocować marynarzy, wsuwamy szczudła nóg między 2 paski górnej i dolnej części podstawy; teraz wszyjemy prawe nogi między paski dolne, a lewe nogi — między górne jak na rys. 5 (postępujemy tu tak samo jak przy zeszywaniu tułowia i nóg). Następnie wklejamy rączki, służące do poruszania zabawki; mają one wygląd pasków, oklejonych papierem wiśniowym, przyczem pasek „a" jest wklejony między 2 pasy dolne, zaś pasek „b" przechodzi swobodnie między pasami dolnemi i wklejony jest dopiero między pasy górne; wskutek tego rączka „a" jest o 1 cm krótsza od „b". Wreszcie oklejamy obie części podstawy papierem wiśniowym i malujemy białą farbą (rys. 6).

Zabawkę wprawiamy w ruch przez zsuwanie i rozsuwanie rączek, przyczem marynarze poruszają nogami w sposób, naśladujący ich taniec.

Jo.

Konik na kółkach, zrobionych ze szpulek od nici będzie miłą zabawką dla dziecka.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka - obliczone na 3—4 osoby.

PIEROŻKI Z ZIEMNIAKAMI. Ugotować litr ziemniaków, dobrze je utłuc, żeby grudek nie było, posolić, popieprzyć; następnie usmażyć na złoty kolor pół usiekanej cebulki i wymieszać ją z masą ziemniaczaną. Można również dodać do tak przygotowanych ziemniaków 2—3 łyżki dobrze utartego twarogu. Zawijać masę w ciasto i formować pierożki. Po ugotowaniu polać świeżem masłem z bułeczką i posypać parmazanem lub tartym serem szwajcarskim.

ZIEMNIAKI PO KAPUCYŃSKU. Ugotować ziemniaki w łupinach w słonej wodzie, potem obrać i maczać każdy w rozbitem z wodą żółtku, obsypać tartą bułką, podłożyć masła na blaszany półmisek i wstawić na kilka minut do pieca.

SOS CHRZANOWY NA BESZAMELU. Jasną zasmażkę z łyżki masła i mąki zalewa się 1/4 litrem słodkiej śmietanki lub dobrego mleka, zagotowuje na gładko masę (o ile się tworzą grudki, przetrzeć przez sitko). Sos zaprawia się solą, cukrem i troszką soku cytrynowego i stawia w cieple. Tuż przed podaniem dodaje się dwie łyżki tartego chrzanu. Nie gotować więcej.

SOS HOLENDERSKI. Ćwierć litra rosołu z kury, łyżkę soku cytrynowego, 2 łyżki roztopionego masła deserowego, 3 żółtka, łyżeczkę mąki, szczyptę soli, cukru i białego pieprzu, roztrzepać, a następnie ubijać na parze (wstawione do większego naczynia z gorącą wodą) aż zgęstnieje.

TORT JARZYNOWY. Rozetrzeć na pianę 16 dkg masła, następnie dodawać wśród ucierania 5 żółtek, 5 łyżek mąki, 5 łyżek mleka i wkońcu pianę z 5 białek. (Nie zapomnieć posolić!). Z masy tej wypieka się całkiem jasno, 4—5 płytek wielkości deserowego talerza. Osobno przygotowuje się masy jarzynowe i tak: 10 dkg pieczarek drobno usiekanych, dusi się na maśle i pokrywa jedną płytkę, przykrywa drugą, którą pokryć można duszonym zielonym groszkiem, następną napełnia się drobno usiekanym kalafjorem lub szparagami (mogą być puszkowe). Złożony w całość tort przebija się w kilku miejscach trzonkiem łyżki drewnianej, a w otworki stąd powstałe wlewa się dobrą śmietanę rozbitą z żółtkiem, posypuje parmezanem i wstawia na 15 minut do pieca. W skromniejszem wydaniu, tort ten może być przekładany tylko gęsto uduszonym szpinakiem.

FASZEROWANE SELERY. Małe główki selera obłupać gładko, umyć i podgotować chwilę. Następnie ściąć wierzchołki, wydrążyć i napełniać farszem mięsnym, grzybkowym lub utartym z duszonego ryżu i pomidora, przykryć ściętym wierzchołkiem, który musi się umocować drewienkiem. W kamiennej rynce rozpuścić łyżkę masła, ułożyć główki selera, poddusić, następnie podlać gorącą wodą i dogotować. Wyjęte na salaterkę, polewa się pozostałym sosem, zaprawionym sokiem cytrynowym, zrumienionym cukrem i łyżeczką mąki.

TORT BISZKOPTOWY. 5 żółtek ubić na parze z 15 dkg cukru i kawałkiem wanilji na gęsty krem; mięszać aż ostygnie. Osobno utrzeć 12 dkg deserowego masła i zmieszać je z kremem. Krem dzieli się na dwie połowy, do jednej dodaje się 10 dkg rozmiękczonej w cieple czekolady, do drugiej parę łyżeczek mocnej czarnej kawy. Masą tą przekłada się grubo biszkopty i układa je w dwie warstwy na kryształowej misie, kropi mlekiem lub śmietanką i wstawia na 3 godziny do lodu. Przed podaniem pokrywa się tort bitą śmietaną.

CIASTO KRÓLEWSKIE. 25 dkg masła utrzeć na pianę, następnie dodawać po łyżce 25 dkg cukru pudru i po jednemu 5 całych jaj oraz również po łyżce 25 dkg dobrej sypkiej mąki. Ucieranie trwać musi 30—40 minut, od tego zależy dobroć ciasta. Wanilja lub utarta skórka cytrynowa dla zapachu. Ciasto wlewa się do natartej masłem i mąką wysypanej formy i piecze stopniując ciepłote pieca przez całą godzinę.

KONFITURA Z SZARYCH RENET. 1 kg renet obrać dokładnie i pokrajać w talarki. Obrać 2 cytryny, skórkę gotować przez 10 minut, następnie drobno pokrajać, samą cytrynę zaś, obciągnąć z białej skórki i pokrajać w plasterki. W grubym rondlu kamiennym lub emaljowanym układa się warstwami jabłka i cytrynę, przesypując siekaną skórką i cukrem, którego ma wyjść 75 dkg na 1 kg jabłek. Po 12—15 godzinach, stawia się naczynie na ogniu, po zagotowaniu, odsuwa na kraj blachy i smaży powoli aż się jabłka staną przeźroczyste. Konfiturę gorącą składa się do szerszego słoja, kropi po wierzchu rumem i po ostygnięciu owiązuje celofanem.

Sc. Ko.



Miły samotny posiłek.

Współczesna kobieta żyje częstokroć samotnie, co jednak nie przesądza sprawy w tym kierunku, aby miała wyrzekać się potrzeb kulturalnych w swoim „home", jakoby dla siebie samej nie warto było zachodu. Owszem, dbać należy o każdy szczegół w domu, aby temi drobiazgami uprzyjemniać sobie życie.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

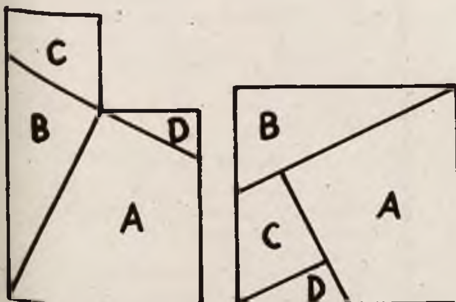
Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 46 — LISTOPAD — Dni 30
Niedziela **10** Andrzeja	Rosół "Julienne" z smażonym groszkiem. Pasteciki z mózgu. Gęś pieczona z kapustą duszoną. Tort biszkoptowy. Kolacja: Zimna gąska z sałatą mieszaną.
Poniedziałek **11** Marcina	Zupa gulaszowa. Hachée z mięsa rosołowego z purée ziemniaczanem. Pieczeń barania "gigot" z fasolkową sałatką. Suflet z jabłek. Kolacja: Jaja w śmietanie z makaronem.
Wtorek **12** Marcina pap.	Zupa pomidorowa czysta z francuskiemi kluskami. Rizotto z szynką. Ozór peklowany z purée grochowem. Omlet z konfiturami. Kolacja: Wątróbka po wiedeńsku z ziemniaczkami.
Środa **13** Stanisława Kost.	Krupnik z podróbkami. Faszerowane selery. Pieczona lub duszona kaczka z buraczkami. Strudel z makiem. Kolacja: Naleśniki z mięsem.
Czwartek **14** Józefata. Seraf.	Zupa grochowa z grzankami. Tort jarzynowy. Zając pieczony z brusznicami i makaronem. Ciasto królewskie z sokiem. Kolacja: Parówki z sosem chrzanowym.
Piątek **15** Leopolda wyzn.	Zupa grzybowa z perłówką na śmietanie. Omlety z szpinakiem. Karp na niebiesko z masłem i purée ziemniaczane. Drożdżowe ciastka z serem. Kolacja: Flondry lub szprotki i pieczone ziemniaki.
Sobota **16** Edmunda. Otmara	Barszcz na rosole z fasolką. Sztuka mięsa w ostrym sosie. Kotlety wieprzowe duszone na kminie z ryżem. Mieszany kompot z jabłek i gruszek. Kolacja: Włoska sałata z chlebem.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązanie z N-ru 35.

1. ZNISZCZONY DYWAN.

Rozwiązanie zadania wskazuje rysunek.



2. KŁOPOTLIWA PRZEPRAWA.

Zadanie może być rozwiązane w dziewięciu przejazdach: 1) Rzekę przebywają pan i pani Kanarek, 2) Pani Kanarek powraca. 3) Przeprawiają się matka i synowa. 4) Pan Kanarek wraca, 5) Teść i syn przeprawiają się, 6) Wraca synowa. 7) Przeprawiają się pan Kanarek i synowa, 8) Pan Kanarek wraca, 9) Przeprawiają się państwo Kanarkowie.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

1. WESOŁE TOWARZYSTWO.

Trzy pary małżeńskie spotkały się na wesołych imieninach. Każdy mąż wypił o jeden kieliszek więcej od swej żony. „Popatrz, pani Skowronek już śpi" — rzekła jedna z pań do swej przyjaciółki Mani — „wypiła tyle co mój mąż". Pan Słowik zauważył, że Stasia wypiła o jeden kieliszek więcej od Jasi, a pan Szczygieł wypił ze wszystkich najwięcej. Jak nazywały się trzy panie?

2. OBSERWACJE PRZYRODNICZE.

Pewien zoolog obserwował ślimaka, który usiłował wejść na mur czterometrowej wysokości. Otóż przez dzień właził on równo 70 cm, ale co noc obsuwał się zpowrotem 60 cm. Kiedy ślimak wejdzie na szczyt muru?

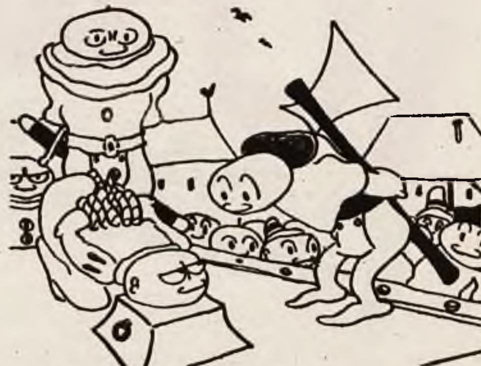
3. KATASTROFA SAMOCHODOWA.

Panu Fordowi śni się, że prowadzi auto po pochyłej górskiej szosie, mającej z jednej strony głęboką przepaść. W pewnej chwili psują się hamulce. Spowodu pochyłości drogi auto nabiera coraz większej szybkości i zbliża się do przecinającego szosę toru kolejowego, po którym właśnie nadjeżdża pociąg. Katastrofa staje się nieunikniona. Co winien zrobić pan Ford w tej sytuacji?

4. W DOMU WARJATÓW.

Zwiedzając dom warjatów, pewien lekarz zapytał dwóch pacjentów o ich wiek. Gdy mu dali odpowiedź, wówczas ów lekarz, chcąc sprawdzić zdolności rachunkowe chorych poprosił ich o dodanie obu liczb. Jeden z nich podał 44, drugi 1280. Ten drugi oczywiście zamiast dodać, pomnożył obie liczby. Po ile lat mieli dwaj warjaci?

TRUDNA SYTUACJA.



KAT DO SKAZANEGO: — Chciałbym pana jeszcze poprosić o rękę pańskiej córki!

Dokończenie ze str. 5-tej.

Anegdota zilustruje najlepiej: Rikui kazał swemu synowi zamieść ścieżki w ogrodzie. Po godzinnej pracy Shoan-syn wraca i donosi, że już wszędzie czysto. Ojciec wyszedł, oglądnął i skarcił syna: „Nie tak ma wyglądać czysto uprzątnięta aleja!" Potrząsnął drzewem i wszędzie rozsypał liście o złotobrązowych kolorach bogatej jesieni.

Japończyk jest bardzo wytrzymały na wszelkie trudy: sekret wytrzymałości tych małych wzrostem ludzi leży m. i. w systemie wychowania fizycznego. System ten zwany Dżiu-dżitsu zbudowany jest na zasadach mechaniki, znajomości anatomji i szybkości orjentacji. To nietylko sposób walki, ale cały trening, mający na celu uodpornienie ciała i wyrobienie ducha. Kurs dżiu-dżiutsu trwa 4 lata, co już pozwala się domyśleć, że to nie kwestja nauczenia się paru uchwytów, ale cała nauka. Myśl przewodnia dżiu-dżitsu, to obrona słabszego przed silniejszym.

Jak dalece wyśmienitym jest elegancki sposób obrony i ataku dowodzi fakt, że — początkowo troskliwie ukrywany wśród kasty samurajów — obowiązuje obecnie w każdej nowocześnie zorganizowanej policji. Zetknięcie się z europejską cywilizacją było dla każdego narodu zgubnem. Jedyni Japończycy starają się wziąć z Europy tylko to, co im się może przydać, nie zarzucając jednocześnie swych narodowych — tak wartościowych — cech. **Dolęga.**

Dokończenie ze str. 8-mej.

Miękisz tego kaktusa po spożyciu go przez człowieka wywołuje jaskrawo-barwne halucynacje. Bardzo ciekawym jest fakt, że dla zdrowia narkotyk ten jest zupełnie nieszkodliwy.

Niektóre plemiona indyjskie oddają temu kaktusowi cześć boską. W poszukiwaniu tej rośliny urządzają dalekie wyprawy, połączone ze specjalnemi obrzędami religijnemi. Podróż taka trwa zwykle około miesiąca, przyczem przez ostatnie 5 dni uczestnicy wyprawy zupełnie nie przyjmują pokarmu, spożywając tylko wysuszone plasterki peyotla. Ciekawym jest fakt, że właśnie w tym stanie narkozy Indjanie z zadziwiającą łatwością znajdują te święte kaktusy nawet w ciemności, podczas gdy normalnemu człowiekowi znalezienie peyotla przychodzi trudno, gdyż rośliny te są szare i prawie zupełnie zagłębione w ziemi. **M. S. SS.**

Dokończenie ze str. 11-tej.

ciepłe nie poruszało się w nich ze zbyt wielką szybkością, a ujście tych przewodów w poszczególnych pokojach winne być tak rozmieszczone, aby przebywając w pokoju, nie odczuwano przeciągu. Część powietrza zużytego wraca z powrotem do filtra i włączona zostaje do obiegu. Powoduje to, jak już wyżej powiedziano, znaczne oszczędności w opale. Urządzenia do wytwarzania sztucznego klimatu, są przeważnie zupełnie zautomatyzowane i przez kilka ruchów dźwigniami można nastawić sobie dowolną temperaturą i dowolną wilgotność powietrza. Ciekawem jest, że urządzenia takie służą nietylko w zimie, ale także i w lecie. — W tym wypadku powietrze przechodzi nie przez generator cieplny, tylko przez sztuczną lodownię, a mieszkanie otrzymuje powietrze czyste i chłodne.

Możemy sobie wyobrazić, że urządzenia takie są jeszcze dzisiaj bardzo drogie i tylko niewielu wybrańców losu może z nich korzystać. — W miarę jednak standaryzacji mogą urządzenia te stać się popularniejsze, przynajmniej w tej mierze, jak urządzenia do centralnego ogrzewania, które początkowo były również bardzo drogie.

Przypomnijmy jeszcze, że największy wynalazca polski Pan Prezydent Rzeczypospolitej, prof. Ignacy Mościcki skonstruował urządzenia do wytwarzania sztucznego klimatu górskiego. Urządzenie to jest znakomicie przemyślane i daje możność zaopatrzenia większych pomieszczeń ludzkich w powietrze, posiadające odpowiednią temperaturę i wilgotność. Prócz tego jednak aparat ten dostarcza promieni ultrafioletowych i oczyszcza powietrze od wszelkich składników trujących. Wynalazkiem tym stanęła Polska w rzędzie krajów najbardziej postępowych. *Inż. J. A.*

Dokończenie ze str. 17-tej.

postać cesarzowej Elżbiety i przyznać trzeba, że nietylko gra odpowiadała charakterowi odtwarzanej osoby, ale również naturalna uroda pięknej aktorki dziwnie przypominała rysy monarchini. Ciekawą kreacją była rola Pola Negri jako królowej Dragi, a tu również ciemnowłosa uroda naszej rodaczki stała się jej naturalnym sprzymierzeńcem.

Jak powiedzieliśmy, mało jest filmów „stylowych", bez zastrzeżeń, bez paktowania z gustami publiczności, a będących odtworzeniem dokładnie danej epoki. Do filmów tych należy zaliczyć jeszcze stary, niemy film Rudolfa Valentino „Monsieur Beaucaire", „Manon Lescaut" z Gajdarowem itd. Dla uzmysłowienia sobie, jak trudnem jest przeprowadzenie stylowości filmu wystarczy wspomnieć, że ogólnie bardzo udany historyczny film „Królewska kurtyzana" z Dolores del Rio, grzeszy takiemi śmiesznemi omyłkami, jak karetą koronacyjną, którą jeździ Ludwik XV do swej kochanki. Kareta ta, istna kość obrazy dla ludzi, którzy widzieli choćby kilka muzeów, kapie od złota, lecz na sto kroków każdy pozna, że jest ona ad hoc sklecona w Hollywood.

Grzechy historycznej produkcji filmowej są nader zrozumiałe, gdyż przecież kino jest dalekie jeszcze od ewolucji, jaką przeszedł teatr, a i on dopiero w ostatnich czasach, tj. od Reinhardta zaczął liczyć się ze stylowością. I na kino więc przyjdzie wkrótce taka epoka „comme il faut"!

Jan Maleszewski.

To warto poznać..



Niespospolitem widowiskiem teatralnem jest grany obecnie w **Teatrze Polskim** w Warszawie, **„Kordjan"** Słowackiego w inscenizacji i reżyserji Schillera. Reżyser dał nowy kształt poematowi, z ryzykowną śmiałością rzetelnego artysty „Kordjana" odrealistycznił, uwypuklając przedewszystkiem element wizjonerski i fantazję plastyczną dramatu, ujednostajniając jego styl i dając jednolitą ideę dekoracyjną. Widowisko ma wszystkie zalety schillerowskich inscennizacyj, ma naturalnie i wady, ale miały je także wszystkie dotychczasowe realizacje sceniczne „Kordjana". Rolę Kordjana powierzono artyście młodemu, Wyrzykowskiemu, który stworzył postać bardzo bezpośrednią, rzewna w momentach lirycznych. Całe przedstawienie jest pełnym sukcesem reżysera i aktorów, a zwłaszcza bardzo silną jest scena sporu mocarzy, cara, granego przez Sochę, z wielkim księciem Konstantym, granym przez Samborskiego. Świetny jest Józef Węgrzyn, jako Nieznajomy, dobrze grają jeszcze Buszyński (prezes), Piaskowska (Violetta), Wierciński, Opaliński (Papież) i in.

Na scenie **Teatru Nowego** w Warszawie wystawiono sztukę współczesną Janiny Morawskiej p. t.: **„Łańcuch"**. Pierwsza sztuka Morawskiej „Sobowtór" grana była przed kilku laty w Teatrze Solskiej na Żoliborzu. Wzbudziła wówczas duże zainteresowanie. „Łańcuch" jednak spotkał się z bardzo nieprzychylną, a szczerą oceną krytyki, która widzi w „Łańcuchu" pustkę, brak idei i kośćca dramatycznego. Sztuka grana jest jednak doskonale przez cały zespół z Solską, Małynicz, Smosarską, Kamińską, Różańską, Woskowskim, Rolandem i Karczewskim na czele. Wyreżyserowała sztukę Wysocka. Jeden z krytyków założył votum seperatum i twierdzi, że sztuka nie jest słaba, że jest kapitalną komedją, a tendencje autorki są celowo parodystyczne, nie zrozumiała tylko tego reżyserja, krytycy i publiczność.

W **Poznaniu Teatr Polski** wystawił, rzadko na scenach naszych pokazywaną, krotochwilę ze śpiewami Fredry **„Nowy Don Kiszot czyli Sto szaleństw"**. Muzykę do tej krotochwili napisał — jak wiadomo — Moniuszko. Przedstawienie tej komedji, będącej satyrą na romantyzm w życiu, jest przedewszystkiem sukcesem reżyserskim i aktorskim Romana Zawistowskiego. Kapitalnie rolę burmistrza gra Jaworski, a obok nich bawią publiczność Zasadzianka, Chaniecka, Pągowski, Bogusławski i Tatarkiewicz. Publiczność oklaskuje także karykaturalne dekoracje Z. Szpingera.

Poznański Teatr Nowy gra z powodzeniem lekką komedję Hüxley'a, **„Wiosenne porządki"**, w której bawią szczególnie publiczność Michalska, Kaden, Zdzisław Nowakowski, Tatarski i Loedl. Teatr **Ziemi Pomorskiej** wystawił angielsko-chińską sztukę **„Mandaryn Wu"** z Piekarskim w roli tytułowej. **Grodzieński Teatr Objazdowy** zapoznaje Wileńszczyznę z zabawną krotochwilą A. Krakowieckiego **„Sezamie otwórz się"**.

(swb).

NOWE PŁYTY.

„Shuffle of to Buffallo" to fox (Dubin-Warrn) o ładnej melodji. Piękna harmonja głosów, doskonale zestrojona rytmika i ciekawy akompanjament, to główne zalety wspomnianego utworu, wykonanego na płycie Brunswik A 9449 przez siostry Bosvell.

„Why don't you practice what you Preach" (Sigler-Goodhart-Hoffman), to również utwór śpiewany przez siostry Bosvell. Śpiew ich stał się tak dalece podobnym do głosu instrumentów, że chwilami niewiadomo gdzie kończy się akompanjament a rozpoczyna śpiew. Brunswik A 9616. Po drugiej stronie tej samej płyty rumba.

Bracia Mills nagrali obecnie nową piosenkę o miss Otis. Otóż panna Otis po przetańczonej w dancingu nocy, gdzie najprawdopodobniej nie brakowało alkoholu — ma spleen. Aby wczuć się w sytuację panny Otis warto posłuchać Mills'ów. Już parę leniwych taktów tej piosenki o smutnej pannie Otis wywołuje wrażenie, że i my przebyliśmy podobną noc. Kompozytorami piosenki „Miss Otis Regrets" są Cole i Porter. Brunswik A 9719.

I to ma być jazz! Figlarne trele fletów — podrygujące takty, muzyka szpinetów — niemal gawot... Posłuchajcie Hal Kemp'a jak gra „Flirtation walk"! Ale w pokoju musi być cicho. „Flirtation walk" — fox (Dixon-Wrubel). Brunswik A 9799.

Troszkę Montparnasse'u — Wiedeń kupiony na Praterze — wspomnienie Marleny Dietrich, gładki, nieco matowy głos — i oto macie Mimi Thona śpiewającą „Sonne wird Scheinen" i „Ich will deine Kameradin sein" (Arnold i Stolz). Te dwie piosenki Mimi — to małe i miłe rzeczy, które lubimy przy czarnej kawie podczas poobiedniego lenistwa. Polydor 10316.

Piosenka o kwiatku!... Tego dawno już nie było! Może dlatego wydaje nam się ten utwór jakimś odbiciem dawnych czasów. A przytem nazwa — gardenia!... Nie — to już naprawdę jakaś zapomniana płyta z dawnych lat. A przytem doskonałe wykonanie Roy Foxa. Oryginalny tytuł utworu brzmi: „A little white gardenia". Polydor 1877.

(j)



Niedziela, 10 XI.

10.00: Nabożeństwo.
12.15: Poranek muzyczny z Poznania.
14.20: Muzyka lekka.
16.00: „Wojsko idzie" — obrazek dla dzieci młodszych.
16.15: „W muzykalnym domu".
17.00: Muzyka taneczna.
17.40: Migawki regjonalne.
18.00: Muzyka lekka.
19.30: Barkarole — aud. muzyczna.
20.00: Koncert z Krakowa.
21.00: „Wesoła Lwowska Fala".
21.30: „Kajakiem — w drodze do Indyj" — feljeton.
22.00: Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 11 XI.

10.00: Transmisja nabożeństwa z Katedry św. Jana.
10.45: Koncert.
12.15: Uroczysty Poranek Muzyczny.
13.00: Fragment słuchowiskowy „Horsztyński".
13.20: Polska kapela ludowa.
14.20: Muzyka salonowa.
15.15: „Rytmy polskie w obecnej muzyce" — koncert.
16.00: „Dzisiejsze święto w Polsce".
16.45: „Ostrzęsiny".
17.15: „Hymn Zmartwychwstania" — M. Grossek-Koryckiej.
17.50: „Z pogranicza Abisynji".
18.00: Recital skrzypcowy.
18.50: Muzyka.
21.00: „Raport pracy" — aud. okolicznościowa.

Wtorek, 12 XI.

12.30: Muzyka salonowa.
15.30: „Wspomnienia z operetki Pawła Abrahama".
17.15: Koncert.
18.00: Recital fortepianowy.
18.30: „20 lat teatru".
18.45: „Krakowiaki" — z płyt.
20.05: Koncert symfoniczny z Katowic.
22.45: „Światowy Kongres Esperantystów w Rzymie" — odczyt w języku esperanckim — wygł. prof. Bujwid.
23.05: Muzyka taneczna.

Środa, 13 XI.

12.15: Pogadanka dr. Gustawa Szulca.
16.00: „Rozmowa Majster-Klepki z Lepi-Gliną".
16.20: Muzyka.
17.20: Koncert kameralny z Poznania.
18.00: Duety w wykonaniu Maryli Karwowskiej.
18.45: „Z oper Ryszarda Straussa".
20.00: „Perpetuum mobile... przez 45 minut" — aud. muzyczna.
21.00: XI audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina".
22.05: Koncert utworów Romana Statkowskiego.
23.05: Muzyka taneczna.

Czwartek, 14 XI.

13.00: Muzyka.
15.30: Koncert Zespołu Tychowskiego.
18.45: Muzyka salonowa.
20.00: „Wesoła audycja muzyczna".
21.00: Premjera słuchowiska — „Obiad Brodzińskiego".
22.00: Koncert muzyki norweskiej.
23.05: Muzyka taneczna.

Piątek, 15 XI.

12.40: Koncert Zespołu Adamskiej-Grossmanowej.
16.00: Pogadanka dla chorych.
17.00: Odczyt — reportaż z Zakł. Anatomji Patologicznej U. J.
17.20: Recital fortepianowy.
18.00: Recital śpiewaczy Gerharda Hucha.
20.00: Aktualny monolog.
20.10: Koncert symfoniczny.
22.30: Muzyka taneczna.

Sobota, 16 XI.

12.15: Mała orkiestra P. R.
13.25: Chwilka gospodarstwa domowego.
14.30: Muzyka lekka.
15.30: Orkiestra Katza z Wilna.
16.45: „Cała Polska śpiewa".
17.45: „Dziki łabędź" — pogadanka.
18.00: Audycja dla dzieci.
18.45: Utwory Berlioza — z płyt.
19.50: Pogadanka aktualna.
20.00: „Mozajka muzyczna".
21.30: „Wesoła Syrena".
22.00: „Czar walca" — operetka.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.